

ZESZYT SIÓDMY. ROCZNIK SZÓSTY.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

ROZDZIAŁ IX.

Adelaida była teraz zamyślona, ale o pakach i obrazach wcale nie myślała. Wszystkie jej obawy, które dotąd wydawały jej się nieprawdopodobnemi, przybrały teraz zupełnie inny kierunek.

Pan Wojciech odsłonił jej rzeczy wielkiej wagi, ale one nie miały w tej chwili dla niej wielkiego interesu. Patrzała na nie okiem kobiety, resztę pozostawiła innym. Szukała w nich tylko dowodu, że jej obawy mogą się spełnić. I taki dowód znalazła.

Pierwiej wydało się jej nieprawdopodobnem, aby Edmund w rzeczywistym jakim zamiarze zbliżał się do Olgi. Dzisiaj wyjaśniło się jej to zbliżenie. Edmund przeszedł do innego obozu, otoczony był ludźmi tegoż obozu, a ci ludzie może nawet w widokach swoich podniecili w nim żądzę ożenienia się z córką Burskiego.

Takim wydał jej się dzisiaj romans Edmunda z Olgą, a serce jej uderzyło boleśnie. Nie tylko bowiem chodziło tutaj o Edmunda, ale chodziło o nią samę, bo teraz dopiero poczuła wyraźnie, że Edmunda kochać może.

Olga wystąpiła teraz przed nią w jaskrawych barwach szczęśliwej rywalki.

Widok rywalki rozpalił w jej sercu całą namiętność leżących tam odłogiem uczuć i nabawił ją niezwykłej gorączki. Czuła wewnątrz płomień, który ją trawił; łzy mimowolnie cisnęły się jej do oczu, chociaż przedtem nigdy nie płakała; a gdy z wielkiego znużenia powieki zamknęła, tłoczyły się przed nią dziwne mary, wyrzucające jej, że sama pozbyła się szczęścia swego.

Dziwna rzecz, że w tych skrytych a tak gorących pragnieniach ani na myśl jej nie przyszło, że Edmund nie jest bogaty, że według planów jej życia, nigdyby za niego pójść nie mogła. Wszystkie te akcesorye ludzkie znikły jej teraz z przed oczu; ona pragnęła tylko człowieka, człowieka, który niedawno ją adorował, a teraz opuścił.

Adelaida nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie mogła siebie poznać, nie przypuszczała nawet, aby to wszystko na jawie się działo, aby nie było tylko snem ułudnym. To nie była ona, jakaś inna kobieta czuła i bolała za nią; a gdy nad tą boleścią się zastanowiła, uznała, że nie jest ona bez pewnej roskoszy, że jest daleko przyjemniejszą nad chłodny, martwy spokój.

Zrazu powzięła myśl, aby Oldze otwarcie o swoich cierpieniach powiedzieć, aby rzucić się jej na szyję, albo nawet do nóg upaść i błagać o zwrot serca, które miało do niej należyć.

Gdy się bliżej nad tem zastanowiła, spostrzegła, że droga taka jest wprawdzie dramatyczną, ale do celu nigdy nie prowadzi. Żadna kobieta nie zrezygnuje z szczęścia swego, jeżeli to szczęście stało się potrzebą jej życia. Przeciwnie, usiłowanie podobne może tylko tem więcej zacieśnić węzły miłości i wznieść ją do wyższej potęgi.

Droga ta była zła. Trzeba było szukać innej.

Adelaida postanowiła przemówić zimno do rozsądku Olgi. Postanowiła wyrozumować jej spokojnie, że podobne marzenia do szczęścia nie prowadzą. Miała nawet w zapasie wiele znanych przykładów, któremi chciała dowieść Oldze, że takie zamążpójście w nierównych warunkach staje się prędzej czy poźniej źródłem niewyczerpanem boleści i nieporozumień na całe życie.

Po bliższem obejrzeniu tego planu, zarzuciła go także. Wiedziała bowiem, że żadne, choćby z największem namaszczeniem wypowiedziane kazanie, nie nawróci nigdy ludzi roznamiętnionych, i to jeszcze w chwili, w której ta namiętność dochodzi do najwyższego stopnia. Przeciwnie byłoby to tylko tem większą dla nich podnietą.

Jakaż więc była inna droga?

Po długim namyśle wróciła znowu do Edmunda. Edmund może dałby się przekonać, możeby uległ wreszcie wrażeniu, jakieby na nim sprawić mogła czarująca jego wybawicielka, a wtedy łatwiejsza byłaby sprawa z opuszczoną Olgą, która prócz łez nie miała żadnej innej broni.

Było to jednak dzisiaj niemożliwem. Edmund nagle gdzieś wyjechał i tylko małą karteczkę przysłał do pałacu, że prawdopodobnie cały tydzień w podróży zabawi. Karteczka ta nie miała dla pałacu żadnej racyi, bo Edmund nie miał obowiązku opowiadać się tam, gdzie wyjeżdża i kiedy wróci. Był to tylko zręczny sposób zawiadomienia Olgi o tem, dla której ta kartka w gruncie rzeczy była przeznaczona.

Nieobecność więc Edmunda nie pozwalała myśléć o jego nawróceniu, ale sprzyjała właśnie innemu planowi.

Jedna bowiem tylko droga pozostała teraz dla Adelaidy, a droga ta prowadziła poza Olgę i Edmunda. Nieobecność Edmunda bardzo temu sprzyjała.

Drogi podobne, poza plecyma innych prowadzące, nie zawsze są moralne. Już sama ich natura wskazuje, że kryjąc się przed okiem świata, nie prowadzą do dobrego.

Jakiekolwiek mogły być wyobrażenia Adelaidy, jakiekolwiek namiętności zbudziły się nagle w jej sercu, dotąd starannie jakąś filozofią życia chłodzonem, grunt jej duszy był czysty i szlachetny. Nie mogłaby ani na chwilę zawahać się opuścić drogi, którąby prowadziła do czegoś, co się zazwyczaj potępia.

Jeżeli więc do działań swoich wybrała drogę skrytą, musiała w każdym razie ta droga być dobrą.

Są ludzie, którzy źle czynią, chociaż o tem wiedzą, że to jest złe. Są jednak i tacy, których sumienie jest bardzo tkliwe, którzy przed każdym krokiem swoim starannie radzą się tego sumienia i póty nic nie zrobią, póki wszelkim wymaganiom moralnej swojej istoty nie uczynią zadość.

Do tych ostatnich należała Adelaida. Już sama idea wyższości w społeczeństwie, prawem urodzenia nakazywała jej trzymać się zawsze na wyżynach moralności. A była to dodatnia strona jej wyobrażeń.

Gdy więc pewna myśl co do Olgi do głowy jej przyszła, zapytało się nagle jej sumienie, czy to jest godziwe?

Odpowiedź taka jest nader trudna. Trudno bowiem w takim razie rozróżnić prawdziwych rozumowań od sofismatów, które rozumowi podsuwa jakakolwiek bądź namiętność.

Adelaida odpowiedziała sobie.

Według tej odpowiedzi, droga, którą obecnie szła Olga, nie była dobrą. Olga w zaślepieniu swojem tego nie widziała, bo nie mogła widzieć. Potrzeba więc było jakim niewinnym podstępem wyrzucić ją z tej drogi, i to w ten sposób, aby jej już nigdy znaleźć nie mogła.

Miłość Edmunda i Olgi, rozumowała dalej Adelaida, może być tylko dramatyczną, ale do szczęścia ich nie prowadzi. Edmund jest prawie ubogim, ale ma kapitał przeszłości rodowej, ma tytuł, za który mógłby dostać nie tylko serce kobiety, ale także i znaczny posag. Dzisiejsza zaś jego sielanka może być ładną w obrazku powieściowym, ale w życie przeniesiona staje się dla niego wielkiem nieszczęściem. Tego nieszczęścia nie widzi teraz Edmund, a dzisiaj jego stosunki oślepiają go tem więcej i nie dopuszczą nigdy, aby na czas przejrzał. Również i Olga idzie ślepo w przepaść. Być może, że chwilowo jest Edmund nią zajęty, ale po uspokojeniu się rozgorączkowanej pierwszej namiętności, odsłoni się jej smutny widok życia rzeczywistego, który dla niej będzie tylko katuszą. Wtedy obaczy, że cięży żelazną kulą u stóp męża, że wyrwawszy go z jego sfery, nie zastąpi mu sama tego wszystkiego, co tamta sfera mu dać może, że w końcu jakby za karę będzie musiała patrzéć na ukryte i jawne cierpienia męża, żałującego, że się dał szałowi porwać.

Taki obraz widziała teraz Adelaida przed sobą i wierzyła, że jest prawdziwy.

Stosownie do tego obrazu uważała teraz za swój święty obowiązek, przeszkadzać wszelkiemi siłami i środkami, aby do tego nie przyszło, chociażby nawet w pierwszej chwili nie była przez Olgę i Edmunda dobrze zrozumianą.

Gdy nad tem dłużej jeszcze pomyślała, wyprostowała się pewnem uczuciem szlachetnem, jakby była bohaterką.

Że przy tem bohaterstwie ona i dla siebie coś zrobić może, o tem prawie nie myślała w tej chwili. Ona adorowała teraz siebie, że w taki sposób umie się dla swoich bliźnich poświęcić. Czy to były rozumowania, czy proste

sofizmata, jakiemi zły adwokat złej sprawy broni, nad tem nie zastanowiła się teraz.

Wzięła dużą ćwiartkę welinowego papieru i zaczęła pisać list długi i szeroki.

List ten był pisany do brata pana Alberta, który w Warszawie ożenił się z córką bankiera.

Adelaida donosiła w tym liście drogiemu stryjaszkowi, że rodowi ich, który tak długo przetrwał bez skazy i zmazy, zagraża teraz wielkie nieszczęście. Pisała, że jeden blizki członek tego rodu powziął nieszczęśliwy zamiar ożenienia się z osobą nader nizkiego urodzenia. Rzuciłoby to wielką plamę na czysty dotąd lustr domu, i starożytny herb zniżyłoby do poziomu zwyczajnych ludzi. Byłoby to dla wszystkich wielkiem nieszczęściem, a sam pan Albert, jej ojciec, nie przeżyłby tego ciosu. Całe jednak to nieszczęście dałoby się odwrócić, gdyby tę sprawę sprowadzono do kwestyi pieniężnej. Zdaje się, że kilka tysięcy złr. załagodziłoby tę sprawę i członkowi wspólnego rodu rozwiązałoby ręce do innego losu, na jaki sobie słusznie zasłużył.

Gdy Adelaida ten list pisała, zatrzymywała się często śród pisania, jakby jej jaki ból wewnętrzny dojmował. Czasem odłożyła pióro i z czołem zmarszczonem patrzała czas niejaki przed siebie. Zdawało się, że jej brak było wyrazów, że budowie stylistycznej stawało coś na przeszkodzie. Na jej twarzy widać było natężenie, a wkońcu wystąpiły nawet dwie duże czerwone plamy.

Była to właśnie niedziela. Zazwyczaj jechano w tym dniu z pałacu przed południem do miasta na nabożeństwo. Cieszyła się z tego służba, bo wtedy mogła także być w mieście i w kościele. Stary Anatol w takim razie smarował wąsy i włosy, i zaczesywał się starannie, jak przystało na lokaja, który trzymając książki do modlenia stał w kościele zaraz obok kolatorskich ławek, i przeto powszechną na siebie zwracał uwagę.

Smarowanie jednak włosów i wąsów było dla Anatola rzeczą tak wielkiej wagi, że tylko dla należytego efektu swego państwa to robił. Gdy bowiem dla niepogody lub jakiej innej przyczyny do miasta na mszę nie jechano, Anatol w takim razie zaniedbywał powyższych kosmetyków.

Dzisiaj zaglądał kilka razy do budoaru Adelaidy, czy jakich przygotowań do wyjazdu nie obaczy, ale dotąd nic się nie dowiedział. Zasięgał nawet języka od panny służącej, ale i ta nic nie wiedziała, bo Adelaida dotąd nie kazała się ubierać. Panna służąca była nawet w złym humorze, bo wiele liczyła na dzisiejszy wyjazd do kościoła, chcąc się tam w nowej sukni okazać, jaką darowała jej panna Olga. Nawet stary stangret, który, korzystając z kilkogodzinnego pobytu w mieście, zawsze wracał do pałacu jakiemś tajemniczem szczęściem rozpromieniony, nie mógł się nigdzie dowiedzieć, czy dzisiaj pojedzie się do kościoła, czy nie.

Adelaida była zajęta pisaniem i nikogo nie przypuszczała do siebie. Kilka razy zmieniała papier i pióro.

Gniewała się na pannę służącą, że jej przeszkadza, a nawet ulubionego kotka swego za drzwi wypędziła.

Nim jeszcze zaczęty nanowo list przepisać zdołała, otworzyły się drzwi od galeryi obrazów, a do budoaru wszedł pan Albert w wytartym oliwkowym surducie.

— Czy sądzisz, Adelo, że to wszystko dobrze się zakończy? — rzekł do niej ojciec widocznie zakłopotany.

Adelaida ściągnęła brwi i czas niejaki patrzała przenikliwie na ojca.

— Nie wiem, o czem ojciec myśli! — odpowiedziała krótko.

— Zdawało mi się, że ty o tem samem myślisz w tej chwili.

— Czyż koniecznie mamy o jednej i tej samej rzeczy myśléć?

— Zdaje mi się, że mamy sprawy wspólne — z lekką chmurką na czole odrzekł pan Albert i zbliżył się do biórka, na którym leżał list niedokończony.

Adelaida zręcznie nakryła list białą ćwiartką.

— Spodziewam się, że myśli swoich przedemną ukrywać nie będziesz! — dodał z pewnem nieukontentowaniem.

— Niechże mnie ojciec o nie zapyta! — odparła Adelaida wstając z krzesła.

— Wszak zgóry już pytałem, co myślisz o dziwnych zamiarach Edmunda?

Jeszcze jaśniej wystąpiły dwie czerwone plamy pod oczyma Adelaidy.

— O zamiarach Edmunda? — powtórzyła urywanym głosem — o zamiarach Edmunda? Cóż właściwie sądzić mogę o jego zamiarach?

— Mogą one być w gruncie bardzo szlachetne.

— W szale bez myśli nie widzę nigdy szlachetności! — szybko przerwała Adelaida.

— Nie przeczę temu... gdzie jednak jest szał, tam może nastąpić opamiętanie.

— Mylisz się ojcze — namiętnie odrzekła Adelaida — każdy szał musi przebyć pewien proces, i wtedy dopiero następuje opamiętanie, gdy ten proces się skończy. A to w każdym razie następuje zapoźno, bo wtedy, gdy się wszystko skończy.

Pan Albert zadumał się głęboko.

W takim razie — rzekł po chwili — będzie Edmund wiele winien; szkoda tak pięknego nazwiska.

— Edmund winien, to prawda — odparła Adelaida — ale daleko winniejszą jest ona!

— Ona? — powtórzył z zadziwieniem pan Albert. — Ona? co za ona? O kimże mówisz? Ja mówię o tem, o czem wczoraj.

Adelaida zarumieniła się. Czerwone plamy pod oczyma posiniały.

— Poplątał mi się język z wielkiego zmartwienia — odpowiedziała szybko — bo to, o czem wczoraj pan Wojciech nam mówił, mocno mię martwi.

— Nie tylko o tem chciałem z tobą mówić, o czem pan Wojciech wczoraj mówił, ale jeszcze o czemś innem, co nas najbliżej obchodzi!

Adelaida zmarszczyła brwi. Na jej twarzy był wyraz natężonej uwagi.

— Co nas bliżej obchodzi, powiedziałeś ojcze?

— Tak, co nas bliżej obchodzi, co nas sàmych dotyczy, co dom nasz...

Pan Albert zrobił tu giest tragiczny i zamilkł. Adelaida spuściła oczy ku ziemi i zamyśliła się.

— Dom nasz jest już i tak nad przepaścią — wymówiła ponurym głosem — a gdyby jeszcze do tego...

— Dołączył się skandal!

— Rzeczywiście byłby to skandal —

— Żeby własny ród sam siebie zabijał!

— Tem zabijają się wszystkie rody!

— Przecież nie wszystkie spiskują?.. Dzisiaj mówisz ze mną niezrozumiałym językiem.

— Być może, żeśmy się zrazu nie zrozumieli — żywo z ironicznym uśmiechem odpowiedziała Adelaida — ale temu nikt nie winien, jak tylko Edmund, który nam tyle zmartwienia sprawia!

— Jeszcze nas każe wszystkich cichaczem w nocy wymordować! Do tego odnosiłem powyższe słowa moje!

— Każe nas wymordować? Co też ojciec mówi!

— Co mówię? Nie wierzysz? Czy ty nie wiesz, że jakobini i hajdamacy...

— Ależ on nie jest ani jednym ani drugim!

— A pocóż w nocy dokoła mur ogrodowy objeżdża? Szymek widział go przed dwoma dniami, jak objechał w nocy trzy razy ogród i pałac dokoła, a potem na pagórku stanął i w okna pałacu z godzinę patrzył! Co, czy to nie jest szpiegowstwo? Czy nie patrzy, zkąd najlepiej z chłopami na pałac uderzyć?

Mimo ściągniętych brwi zaruszały się usta Adelaidy ironicznym uśmiechem nad tym przestrachem staruszka.

— Już te codzienne wizyty jego — mówił dalej pan Albert—te konszachty ze służbą, te szepty z Olgą, o czem mi także Szymek wiele opowiadał, a fraternizowanie ze starym Burskim, wszystko to...

— Wszystko to jest tylko płonną marą, mój ojcze — uspokajała Adelaida—jakkolwiek Edmund w coś się wdał, nigdy jednak nie zrobi tego, o co go, ojcze, posądzasz!

— Dałby Bóg, dałby Bóg!.. Czy sądzisz, że obrazy moje będę mógł wysłać do Wiednia?

Adelaida uspokoiła staruszka, który odkrząkując z jakąś lepszą otuchą wrócił do swojej galeryi, zkąd go na chwilę wystraszyły myśli o mordach i hajdamakach.

Adelaida wróciła do pisania listu.

Na progu okazała się teraz Olga w zupełnem ubraniu.

— Czy dzisiaj nie pojedziemy do kościoła? — zapytała zapinając swobodnie rękawiczkę.

— Do kościoła? — powtórzyła zgryźliwie Adelaida — wszak widzisz, że list piszę. Zresztą nie ma już czasu do ubrania się.

— Pojadę sama z panną służącą.

— Zaczekaj chwilkę... dam ci list na pocztę.

Olga położyła parasolkę na krześle, a przeszedłszy się kilka razy po pokoju, zatrzymała się przy oknie.

Dzień był pogodny, gorący. Z okna było widać całą dolinę, ubraną w błękitne ramy gór i ustrojoną w zielone drzewa i trawy. Na niebie przesuwały się białe chmurki, lekki wietrzyk chłodził skwar słońca.

Olga patrzała na dolinę w zamyśleniu. Po dolinie wiły się drogi i ścieżki, po tych drogach i ścieżkach błądziły koleją szafirowe jej oczy. Zapewnie myślała w tej chwili o Edmundzie, zgadywała, którą drogą pojechał, a którą wroci... myślała nawet, że ta dziczka tam na wzgórku to wózek, na którym on jedzie...

Pióro żelazne Adelaidy zaskrzypiało, a Olga ocknęła się.

— Czemu ci pióro tak przeraźliwie skrzypi? — zapytała z uśmiechem od okna.

— Papier nierówny — odpowiedziała Adelaida i pisała dalej.

Olga zwróciła się znowu do okna. Coś ją tam ustawicznie ciągnęło. Widok nieba bożego i żywa gorąca natura miały w tej chwili więcej uroku dla niej od rzeźbionych i wyzłacanych arabesków biórka, na którem pisała list Adelaida. Cóż bowiem może jej dobrego powiedzieć to biórko, misternie rzeźbione? a tam w tym przestworze światła, w tym szerokim widnokręgu można pomieścić tyle marzeń, tyle uczuć! I znowu daleki tuman kurzu rzucił jej obraz Edmunda przed oczy. Może to on tam jedzie! Może tylko chciał mię trochę zmartwić, pisząc, że cały tydzień zabawi? I uczuła roskoszne bicie serca na samą myśl, na twarzy uczuła gorący rumieniec, i byłaby z uczucia jakiejś nadzwyczajnej radości głośno zaspiewała, ale nagle od biórka uderzył ją jakiś jęk boleści.

— Cóż ci to? — zapytała szybko.

— Upiekłam się pieczętując list — odpowiedziała Adelaida, kładąc na liście adres.

Olga zbliżyła się teraz do biórka.

— Czy daleko pójdzie ten list? — zapytała pochylając się przez ramię Adelaidy. — Do Warszawy?

— Do Warszawy... Pamiętaj, abyś go nie zgubiła; oddasz go sama na pocztę.

— Sama? — żartobliwie zapytała Olga — czyż to co tak bardzo ważnego?

— Jest tak ważny, jakby o twoje własne szczęście chodziło! — odpowiedziała również żartobliwie Adelaida; a duże, czerwone plamy znikły w tej chwili z jej twarzy

Olga ucałowała serdecznie przyjaciółkę a zwracając się od progu — rzekła z uśmiechem:

— Czy mam się modlić za ciebie?

— Jak ci się podoba — zimno odpowiedziała Adelaida.

Tymczasem miał już stangret włosy i wąsy należycie wysmarowane, a panna służąca zarumieniona nadzieją nadzwyczajnego efektu, czekała na Olgę niecierpliwie przy stopniu dorożki.

Stary Burski czekał także przy swoim domku i przemyśliwał nad tem, czyby dzisiaj nie mógł się z córką zabrać do kościoła usiadłszy bodaj na koźle. Cofnął się jednak nagle do domku, gdy ujrzał jedwabną, ciemnoszafirową suknię Olgi, a wziąwszy kij do ręki, puścił się ścieżką do miasta piechoto.

ROZDZIAŁ X.

List, który Olga własnoręcznie na pocztę oddała, stanął za dwa dni w Warszawie i został podczas śniadania bratu pana Alberta na srebrnej tacy podany przez lokaja.

Bogaty stryj przeczytał list Adelaidy, pomyślał nad nim trochę, potem roześmiał się i na bok go odłożył. Sięgnęła po tem po niego stryjanka, córka bankiera, bardzo piękna kobieta, przeczytała go z małym grymasikiem na różowych ustach i także odłożyła. Grymasik córki rozciekawił starego bankiera, który za niemem przyzwoleniem zięcia wziął list także do ręki.

Stary bankier, którego ojciec miał dystrybucyą cygarów i kolekturę loteryi, czytał list z wielką uwagą, zmarszczył czoło z należytą powagą i zapytał zięcia i córki, dla czego z takiem lekceważeniem ten list przyjęto. A gdy ani zięć ani córka prócz przelotnego uśmiechu na to żadnej odpowiedzi dać nie chcieli, skrzywił się stary bankier i rzekł do dzieci, że takiej sprawy lekceważyć nie można. Czystość rodu, mówił do dzieci, jest wielkim kapitałem, a kapitału tego nie można lekkomyślnie roztrwaniać. Ponieważ nazwisko, które jego jedynaczka nosi, również i jego obowiązuje, więc chętnie ze swojej strony uczyni tę drobną ofiarę, jakiej od niego familia ma słuszne prawo wymagać.

Zięć i córka nie mieli nic przeciw temu, a stary bankier z wielkiem zadowoleniem zapięczętował w dużą kopertę kilka tysięcy rubli, wycisnąwszy pierwej na niej firmę swego domu.

Za pięć dni nadeszły te pieniądze do pałacu, do rąk Adelaidy, która zajmowała się administracyą całego domu.

Gdy Adelaida ten list otrzymała, uderzyła jej krew do głowy, i na chwilę dostała takiego zawrotu, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Przez tydzień rozmyślała nad tem, co zrobiła, i chociaż w gruncie była przekonaną, że zrobiła dobrze, jednak przychodziły czasem takie chwile, w których życzyłaby sobie, aby jej list żadnego skutku nie odniósł.

Zkąd jej takie życzenie przychodziło, nie mogła odgadnąć. Siliła się, aby to życzenie czemś umotywować, aby sobie stworzyć nowe argumenta przeciw temu, co zrobiła, ale dokonać tego nie mogła. To niewyraźne poruszenie duszy, które jej cały plan cofnąć nakazywało, wzięła poprostu za głos egoizmu ludzkiego. Groziła jej bowiem przez wykonanie tego planu utrata Olgi, jedynej towarzyszki samotnego życia, do której od lat kilkunastu już się była przyzwyczaiła. Otóż tą obawą wytłumaczyła sobie dzisiejsze poruszenie duszy, i postanowiła w interesie Olgi być wyższą nad egoizm swego serca.

Postanowienie to jednak nie odbyło się bez boleśnej walki. Siedm dni i siedm nocy potrzeba było walczyć z różnemi natrętnemi myślami i poruszeniami duszy, które z jej planem nie chciały się zgodzić. Do tego Olga dziwnym sposobem teraźniejszem zachowaniem się swojem budziła w niej jakieś uczucia, które jej wykonanie planu utrudniały. Czy to było skutkiem nieobecności Edmunda, czy serce kochającej dziewicy nie mogło przeto na kogo innego przelać wszystkich swoich czułości, dosyć, że Adelaida stała się teraz ofiarą rozczulonej aż do szaleństwa prawie Olgi, i musiała z zimną krwią znosić uściski i pocałunki, które właściwie należały się komu innemu.

Adelaida zrozumiała to, wiedziała komu te uściski i gorące pocałunki przeznaczone były, mimo to musiała ulegać wrażeniu ciepła, które się z przepełnionego serca Olgi wydobywało. Czuła ten ożywczy płomień w jej pocałunkach, czuła go w jej szalonych uściskach. Jej własne serce rozgrzewało się tem płomieniem i wzajemnem biciem oddawało jej to szczęście. W takim razie bolesną była dla niej myśl, że biedna Olga ani przeczuwa, co się za nią dzieje, że te szafirowe oczy zajdą kiedyś łzami, a te gorące ramiona zastygną w zimny marmur...

I wtedy przychodziło jej do głowy, że może list jej pożądanego skutku nie odniesie, może tym sposobem plan się jej nie uda, a tak sam wypadek rzeczy uspokoi jej sumienie.

Co raz częściej przychodziła jej ta myśl do głowy, pieściła się nawet nią jak myślą dobrą, i byłaby nawet wszelką odmowę ze strony stryja heroicznie zniosła, gdyby tak się stało.

Ale zły jakiś demon usłużył jej w tej chwili, z Warszawy nadszedł list i pieniądze.

Słusznie więc uderzyła jej krew do głowy, bo ta krew wyszła z serca, chciała teraz wszystko zmazać, co się tam urodziło. Było to jednak już zapoźno. Przed nią leżały pieniądze, cóż było z niemi zrobić? Czyż można było obrócić je na inne cele? Cóżby dawca tych pieniędzy powiedział, gdyby mu kto doniósł, że podany w liście powód był tylko zręcznym fortelem wyłudzenia kilku tysięcy rubli dla własnej potrzeby? Można mu było je ode-

słać, w takim razie kompromitowałoby to jej pozycyą i stosunek do Olgi.

Do odwrotu było już zapoźno. Pieniędzy potrzeba już było użyć w tym celu, w jakim przysłane były. Był to już fakt, a faktu tego nie można było cofnąć.

Na szczęście przyszły teraz Adelaidzie w pomoc jej wyobrażenia o życiu i szczęściu. Wszystkie argumenta, które przed tygodniem do tego kroku ją popchnęły, zjawiły się znowu przed nią w zdwojonej potędze.

Wyrozumowała sobie, że to przecież szczęście Olgi stanowi, chociaż w pierwszej chwili nie wiedziałaby o tem, że postępowanie takie jest godne prawdziwej bohaterki.

Adelaida wyprostowała się, wzięła list z pieniądzmi i weszła do pokoju ojca. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Dziesiątą okwieca się wiosną.

Dziesiątą okwieca się wiosną
Ostatni nasz posiew mogilny,
Dziesięcioletni już szczep
Gałązkę swą spuszcza miłosną
Ku Polsce, i chłódek posilny
Rzuca na skwarny jej step.

O szczep to nadziei przedziwnej,
Syciły go krwi i łez rzeki!
Pytacie: jaki zeń plon?
Ogrojca krzewinie oliwnej
On rówien, nad której po wieki
Rezurekcyjny grzmi dzwon.

I dawno na szali zwycięstwa
Przeważył on nasze okowy,
Jak dziesięć lat temu wstecz...
Lecz zimny dziś świata duch, męstwa
Doświadczyć chcąc w nas, Brennusowy
Wciąż rzuca na szalę miecz.

Te miecze to łechcą i kuszą
Do korda krwawego dłoń naszą,
Stajemy, gdy wyzwie wróg!
Lecz kordy ojcowskie się kruszą,
Łzy sierót chęć zemsty w nas gaszą,
Doświadczmy więc innych dróg...

By szalę dla Polski przeważyć
Tych losów, tak na nas zawziętych,
W znój twardy ubrać nam skroń,
Do pracy nam ręce obnażyć
I w sercach, jak w kuźniach zaklętych,
Kuć trwalszą, pewniejszą broń.

Bez obaw my bądźmy, bez troski
O przyszłość, gdy szczęki oręża
Zastąpi młotów, kos rym —
Bo zapał codzienny, to boski
Ów szermierz, co zawsze zwycięża,
I przyszłość zawsze jest z nim.

Na polu więc pracy społecznej,
Rozległem, jak polska ta gleba,
Wał wznośmy od wrogich hord;
Do pracy! do broni serdecznej!
Oświata, dobrobyt, gdy trzeba,
I proch nam dadzą — i kord.

22. stycznia 1873 r.

ANTONI CZAJKOWSKI.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

.... Tak wieszcz, malarz i muzyk mistrzowstwa potęgą,
W kościotrup świata ducha wszechmocnego wioną,
Skrzepłe ciało uczucia opasują wstęgą,
I w jego zimnej piersi nakształt serca płoną;
I często niepojęci, wzgardzeni od ludzi
W głąb się zwijają, żyją w sobie, lecz nie sobie,
Wzniosłość ich śmiech obudza, szał ich wrzący nudzi,
Odtrąceni, z pogardą zalegają w grobie.
A kiedy już ich prochy czas swym zębem strawi,
Wtedy sława ich głosi, a świat błogosławi!!.. *)

Od skargi, od westchnienia, którem się wzdęła pierś młodego poety, zaczynam to krótkie o nim wspomnienie. Płakał rymami często, czasem goryczą zaprawiał swe słowa, szyderstwa nie brakło, nauka i świadomość wiedzy ludzkiej okrzykowi bluźnierczemu nieraz służyła. Przebaczcie mu — to był poeta, i nie z rzędu tych, o których jenialna Gabryela mówi w jakiejś powieści: „że w ciepłym szlafroku i pantoflach, przy kominku gorejącym piszą wiersze, rymy układają, oklask zyskują“, lecz był to poeta, który z okienka pracowni swej na świat i bole jego nie patrzał, by poźniej je w druku ogłosić i zdobyć prócz chwały majątek (nie Wiktor Hugo), to był

*) Trzej mistrze. Z niektórych poezyi Antoniego Czajkowskiego. Warszawa 1841 r.

poeta — człowiek — Polak; czujący — więc w cierpienie bogaty, marzyciel — zatem nie rzadko dla ludzi dziwny i śmieszny; istota pragnieniem, intuicyą, jeźli pozwolicie, przyswajająca sobie prawdy najwyższe — a poźniej błądząca po ziemi z tem sennem wspomnieniem natchnień, które się kiedyś ziszczą, darmo i próżno szukająca praw przyrodzonych wcielenia. „A jednak w ludziach tyle anielstwa“, a tak ciężko „do tego życia, jakie nam w udziele padło, przywyknąć.“ A żyć trzeba, i trzeba się do życia stosować!

Więc żył — kochał — i męczył się. Spytacie, jakiego rodzaju były te męczarnie? Dla wielu odpowiedź niejasną się wyda. Nieboszczykowi nie brakło nic, co zadowolnić wymagania nasze może; więcej miał może, niż nas tysiące: Zaszczyty (był radcą stanu i profesorem uniwersytetu), sławę, hojne wynagrodzenie, przyjaciół i zawistnych! „Czegoż, ach czegoż chcieć więcej?“ Podziwiano talent, czoło przed nauką schylano, lękano się dowcipu a laHeine — wierzono w serce i głowę. Czegoż, ach czegoż chcieć więcej?

Męczył się — dla czego? Nie jęczał w Kazamatach, na Sybir go nie gnali, z Dobryczem i Ruprechtem nie stał pod szubienicą, i stryczek katowski szyi mu nie łechtał, „oczami ducha w grób swój nie patrzył“ — więc jakież to cierpienie?

Życie mu kwiaty słało po drodze, kochała go młodzież, a jednak ja uczeń jego powiadam śmiało: *Antoni życie swoje przecierpiał.* Przecierpiał z głośnym humorem, z łzą prawdopodobnie w samotni wylaną, z myślą, której księżyc i święty jakiś obrazek i wspomnienie wiosenne świadkiem.

Odpowiedź nie zyszcze może uznania. Czajkowski cierpiał, bo prawdziwym był poetą. I nie świat, nie społeczeństwo — o to winić. Prawdziwy duch artystyczny nigdy wesołym być nie może. Taka to już natchnienia natura, tak to zawsze, kiedy się czuje i wie, jak być powinno, a obejrzy na okół i rzeczywisty stan oceni. Dojrzana różnica, jeźli śmiech zbudzi, to nie ten spokojny, cichy, konieczny przy dobrym objedzie, ale szyderczy, co wpierw pierś boleścią poszarpie, nim usta skrzywi.

Był poetą, nie tylko w wierszach ślicznych, nie tylko w porywających nieraz wykładach historyi prawa polskiego na katedrze uniwersytetu petersburgskiego, ale zawsze i wszędzie, w dodatnich i ujemnych charakteru rysach; działający pod wrażeniem chwilowem może często — lecz wprawdzie egzaltowany, ale nigdy dla zagadnień i spraw życia nie obojętny.

Ktoby powierzchownie lub według przykrojonej raz na zawsze formułki rzeczy ludzkie sądził, znalazłby może wiele niekonsekwencyi w tym człowieku, przeskoki od zdania do zdania, nie uznałby łącznika między korną modlitwą i żartem pożyczonym od Rabelais, wierszem pobożnym i rozpaczą Byrona. Jednak to wszystko składało się na jeden obraz, wszystko to mieściło się w jednej duszy.

Na początku powtórzyłem, już nie wiem, za kim, że poecie nie może być dobrze na ziemi, dodajcież do tego — Polakowi i poecie, który wieszcze natchnienia w kodeksowe zapragnął skuć paragrafy.

Czajkowski był prawnikiem. Studya odbył w uniwersytecie jagiellońskim, a w r. 1836 znajdujemy już *w kwartalniku naukowym*, wydawanym przez ś. p. Helcla, rozprawę jego doktorską: „*O prawach kobiet.*“ Pracę te zalecają dwie strony: niepospolita znajomość przedmiotu, i poetyczny pogląd na naukę, w sprawiedliwem i kochającem piękno sercu czerpany. Posłuchajmy wstępu:

„Pisać o kobietach, a pisać o nich w Europie, gdzie każdy żyjąc w ich społeczeństwie sam ocenia ich wzniosłe cnoty, zdawałoby się może niejednemu tak zbyteczną i niegodną uwagi rzeczą, jak określenie powszednich a dobrze znanych przedmiotów. Lecz gdy widzimy z ustaw niewiasty uciskających, że ani ich godności, ani ich przeznaczenia nie pojęto, pierwszą więc jest prawnika powinnością, wykazać błędy w dziejach ustawodawstwa, względem kobiet popełnione, oraz zwrócić baczność na zasady, które ku jej poprawie służyć mogą. Kobieta bowiem z pięknością kwiatu, z pogodą błękitu, czulsza od arfy powietrznej, przy lada powiewie dźwięk wydającej, i pełna natchnienia, stoi przed obliczem silnego męża; a kiedy piramidy Egiptu czterdzieści wieków słyną swoją wielkością, sześćdziesiąte już stulecie spogląda na poniżenie niewiasty, tej piramidy dzieł Boga.“

W końcowych tego ustępu kilku wierszach, dopatrzeć można nieco przesady, formy jednakże nie treści, i nie chwilowem wywołanej wrażeniem, bo Czajkowski do końca życia jednaką cześć dla kobiety wyznawał. A zresztą, jeżeli już obrony koniecznie potrzeba, to dodam: że pisał ją w dwudziestym roku życia (urodził się w 1816 r.)

Równocześnie z zajęciem stanowiska w społeczeństwie, wystąpił Czajkowski jako poeta. Muza polska milczała wtedy. Po powstaniu zgnębionem z r. 1831, pod panowaniem Mikołaja, wobec srogich przepisów cenzury warszawskiej i wileńskiej, sprzeciwienie się którym mogło na Sybir poprowadzić, wśród towarzystwa drzącego w bojaźni o wolność i mienie, co tu pisać, co pisać można było?

Czasem jakaś odważna dłoń podała na karm duchową pieśń Adama lub Krasińskiego, Słowacki sny przerywał kordyanowem widziadłem, spiewem Janusza zanucić nie śmiano. W tych smutnych jednak czasach kwitła najraźniej tak zwana literatura *zakazana*, wiązały się kółka młodzieży, z których wyszli Majorkiewicz, Baliński, Ehrenberg, Lenartowicz, dzisiaj duchy już lub wygnańcy i tułacze. Dosyć przytoczyć zawiązane przez K. Balińskiego w uczczeniu Kilińskiego tajne stowarzyszenie „szewców.“ Czy należał doń Czajkowski, wiadomem mi nie jest; z prac literackich wszelako wnosząc, twierdzićby można, iż był, bo wszystko, co młode i szlachetne a uta-

lentowane, garnęło się pod sztandar zabitego w Krakowie Dębowskiego. Wykształcony, pełen ognia Antoni nie mógł zostać na uboczu.

Utwory tego okresu cechuje alegorya, domyślnik jakiś, zrozumiany przez czytelników, ciemny i za nieszkodliwy uznany przez cenzora, który przekreślał w rękopisie „*Kwas pruski*“, zastępując przez „*zagraniczny*“, gdyż dwór petersburgski był dobrze z berlińskim; w wyrażeniu „jestem niewolnikiem mej namiętności“, dopatrywał alluzyi do istniejącego rządu i pisał „jestem murzynem“, i ktoby tam wyliczył! W poezyach Antoniego Czajkowskiego widzimy tę alegoryczną dążność. Przeczytajmy tylko „Ostatni ślub doży“ — „Koń Tomasza II.“ — „Świat rozmaity“ — „Pola Elizejskie“ — „Igrzysko rzymskie“ [1]) i inne.

W Czajkowskiego poezyach mniej znajdujemy ognia, niż w pracach jego towarzyszów; zdziwić nieraz może brak spójności, czasem nawet silenie się na dowcip i oryginalność, jak w „baśni o żelaznym wilku“ [2]), gdzie w zaklętym zamku:

„Zmienili obaj szaty
I dążą do komnaty,
Kędy siedzi księżniczka,
Przed nią pali się świéczka,
I leży na pulpicie
O parostwie, kredycie,
Dalej z szafy wyziera
Libelt obok Kremera,
A tuż zaraz prześliczny
Stoi rozbiór praktyczny.
Księżniczka też mosanie
Grywa na fortepianie,
Lubi Hegla, Guizota,
Ma faworyta kota...“

lecz z wyjątkiem podanego ustępu, wszystkie zalecają się niekłamanem uczuciem, czystością języka i formy.

Niepodobna jeszcze nie podnieść strony religijnej wielu jego wierszy. Ileż to cichej, rzewnej a prawdziwej powagi w poemacie: „Na dzień zmartwychwstania pańskiego.“ Pisząc o poecie, nie można obyć się bez podania choćby kilku wyjątków; uprzedzam przeto, iż to nie ostatnie przytoczenie:

„Minął dzień długi, żałobny Sabbatu,
A mdłe promyki wstającego słońca,
W przejrzystych chmurkach łamiąc się bez końca,
Jaskrawym wschodem zamignęły światu.
Ziemia pogodna w uroczem natchnieniu
Wonnością pienia nuciła po pieniu,
I była jako Chrystus w tej godzinie,
Gdy chleb rozdawał, krew uświęcał w winie;
A niebo było jako pokutnica,
Której wstyd blade zarumienił lica,
A wielkie oczy błękitne, urocze,
Perłami rosy, niby łzami skruchy
Zwilżyły ziemię, nim słońca warkocze
Z kropel otarły wonnych kwiatów puchy.“

Równej piękności i prostoty jest: „Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny“, zakończone modlitwą:

„U twego tronu podnóża
Patrz na żal nasz, nie na winę,
Święta Maryo! Matko Boża!
Módl się za nami grzesznemi
Teraz i w śmierci godzinę.

Najprzedziwniejszym jednak jest „Pająk“, i sądzę, iż czytelniczki rade mi będą, że go w całości przepiszę. Doprawdy to perła poezyi naszej.

Pająk.

Pająk się Matce Boskiej sprzeciwia,
Bo chociaż ona przędzie tak cienko,
On cieniej snuje swoje krosienko,
I srebrne tkanki jaśniej oszkliwia;
Więc nie grzech zabić pająka.

Lecz pająk wieszczek, po srebrnej sieci
Zrana nieszczęścia zwiastować leci,
A gdy wieczorne godziny wieją,
Wróżbita cieszy złotą nadzieją;
Więc szkoda zabić pająka.

A pająk spiewak, na gruzach gości,
I w starym grodzie z bratem słowikiem
Promieniejącej barwy językiem
Kwili gdzieś w kątku dumki przeszłości;
Więc żal zabijać pająka.

A pająk prorok, w złocistej sali,
Na brudnej przędzy pierś swą kołysze,
I szarym kłębkiem po ścianie pisze
Baltazarowe: „Bóg cię obali!“
Więc strach zabijać pająka.

A pająk kapłan, kraty osłania,
Więźniów pociesza, urny oprzędzie,
I z trupich główek tęczą dobędzie
Po hymnach śmierci, hymn zmartwychwstania;
Więc grzech zabijać pająka.

A pająk mędrzec, gdy mu sieć zmiotą,
W nadziejach piersi swej nie rozleni,
Ale ze starych serca promieni
Wnet rzeczywistość uplecie złotą;
Jak nie iść w ślady pająka!

Pająku! Maryi się nie sprzeciwiaj,
Lecz na jej chwałę twoje krosienko
Zasnuwaj srebrno, zasnuwaj cienko,
W barwiste wzory jaśniej oszkliwaj —
A ja cię kocham pająku!

Tyle o poecie. — Jako profesor prawa wiele dobrego ziarna zasiał w sercach młodych słuchaczów. Wykład ten był połączony z wykładem dziejów i wskazaniem obowiązków społecznych. W obronie prawdy stawał zawsze, pióra ani myśli swej nigdy nie sprzedał, a jeśli ktośby błędy wynalazł, to te nie z złego płynęły źródła; były to naleciałości, pragnień niespełnionych wyniki, gdyż nie zapomnijmy, że często z łez, długi czas w tęsknocie ronionych „śmiech się szyderski rodzi.“

Umarł w Petersburgu w lutym.

Karol Pieńkowski.

[1]) Niektóre poezye — Warszawa 1841. r. [2]) Biblioteka Warszawska — 1845 r.

Z życia Szlachcica.

A. GROTTGERA.

III.



Jak młode orlę, gdy opuści gniazdo
I własnych skrzydeł probuje do lotów,
Ojciec je wiedzie podobłoczną jazdą,
Mdlejące pisklę swe podeprzeć gotów;

Uczy je szponów używać i skrzydeł,
Wypatrzeć zdobycz wśród powietrznej toni;
Młodości jego nieroztropnej broni
Od własnych szałów i ptasznika sideł:

Tak ojce owi wiedli swoje syny
Tą samą dłonią, którą piastowali,
I rwać uczyli ich krwawe wawrzyny,
I piersi użyć, gdy zabraknie stali.

Na trudy ciężkie, na hazard nie płochy,
Bez łzy, od której męzki hart rozmaka,
Ach! na śmierć może—wiedli swe pieszczochy,
Jako Abraham na stos Izaaka!

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

(CIĄG DALSZY)

X.

Nie wszystkie kobiety są bajecznemi salamandrami, jak pani sędzina Korowska, która może była zanadto drobną, pomniejszoną istotką, aby być mogła całą i zupełną kobietą.

Sprytny pan Kornel rachował na to, i rachował niebezzasadnie. Bywają pozycye tak strategicznie nieszczęśliwe, że do nich nigdy nie należy powracać, jeźli się raz udało odnieść w nich zwycięstwo, bo każda walka, nawet zwycięstwem uwieńczona, osłabia, i do drugiego tryumfu jużby mogło zabraknąć siły...

Wanda zaufała radzie Julii i pozostała w jednej z podobnych pozycyj, pocieszając się i uspokajając tem, że zawarła kapitulacyą z nieprzyjacielem, na mocy której już mu nie wolno było przypuszczać szturmu, tylko oblężeniem twierdzę zdobywać.

Zapomniała, że wszelka kapitulacya jest połową poddania się strony słabszej stronie silniejszej, i że regularne oblężenie zawsze wycieńcza...

W duszy jej dziwny zapanował zamęt. Badała swoje uczucia i była przekonaną, że w niej miłość dla męża nie wygasła, że owszem, pomimo wad, których byłaby w nim nigdy nie dostrzegła bez pomocy Kornela, pomimo tych wad, na które z upodobaniem i zamiarem spoglądała przez szkła silnie powiększające, kochała go tak samo jak dawniej. Przeświadczała się o tem najlepiej, gdy dla zbadania samej siebie zrobiła na chwilę przypuszczenie, że Witold umarł, zginął albo porzucił ją na zawsze. Opanowywało ją wtedy szczególne, febryczne drzenie, biegła do jego pokoju, szukała go, a znalazłszy pieściła, tuliła się do niego i powtarzała:

— Kocham cię, Witoldzie!

Stosunek z Kornelem był także przedmiotem częstych, może częstszych jeszcze jej dumań i rozmyślań. Nie mogła zaprzeczyć, chociaż z początku chciała się zaprzeć sama przed sobą, że coś dla niego czuje, i że to coś jest bardzo do miłości podobne, tak podobne, że jednej tylko pomiędzy temi dwoma uczuciami mogła dostrzedz różnicy.

Różnica ta przedstawiła się jej nawet nie na jawie, lecz we śnie.

Zasnąwszy raz wieczorem, upojona słowiczą pieśnią o miłości, wyśpiewaną jak codzień przez Kornela, była w sennem marzeniu świadkiem straszliwego kataklizmu przyrody. Gwiazdy spadały z nieba, rozbijały się o szczyty skał alpejskich, rozsypywały w miliony iskier drobnych i gasły jak przepyszny fajerwerk. Księżyc, jak nocna lampka świecący na niebie, znikł za czarną chmurą, z której tryskające pioruny rozdarły łona tych samych skał, co gwiazdom ciosy zadawały śmiertelne. Runęło wszystko, co istniało, świat się zapadł w przepaść bezdenną, i pozostała tylko mała wysepka na niezmierzonym oceanie wszechpróżni, a na wysepce dwoje ludzi: ona czuwająca, i jakiś mężczyzna snem zmorzony, którego twarz zakrywały kwiaty i liście.

Kto to był, nie wiedziała, czuła tylko, że ich było dwoje na świecie, a raczej, że oni tylko dwoje byli światem.

Przybliżyła się do spiącego i sięgnęła ręką, aby odsunąć liście i kwiaty z jego twarzy i zobaczyć jego oblicze.

Nim jednak dotknęła pierwszego listka, wzdrygnęła się i odskoczyła przerażona.

Głos jakiś wewnętrzny powiedział do niej:

— To on... to Kornel!...

Uczucie niewypowiedzianej obawy przejęło ją na wskróś. Pod wpływem tego uczucia gotowa była uciekać, uciekać jak najdalej, aż po za ten ocean niezmierzonej próżni, który był niby obręczą niezerwaną, co ją splotła razem z tym spiącym.

Po długiej chwili zwyciężyła się, postąpiła kilka kroków, lekko i cicho, żeby nie obudzić spiącego, i zaczęła odgarniać z jego twarzy kwiaty i liście.

Czyniła to tak powoli i ostrożnie, że gdyby na którym z tych listków i tych kwiatów spoczywała jaka muszka zdrzemana, nie obudziłaby się pewnie od dotknięcia jej palców.

A odejmując liść po liściu i kwiat po kwiatku, mówiła sobie w duszy:

— Jeżeli to Kornel... ucieknę.

Nareszcie odjęła ostatni kwiat, który zasłaniał lica uśpionego, odkryła je i krzyknęła:

— Witold!

Padła na jego piersi, okrywała pocałunkami jego twarz, budziła go i wołała:

— Witoldzie, wstań... świat się już skończył, ale dla mnie istnieje, boś ty mi został...

Obudziła się, i myśli jej snuły się dalej na tle tego dziwnego snu. Na jawie doszła do tego samego przekonania, co we śnie. Na myśl, że sama pozostałaby na tym świecie z Kornelem, wzdrygała się, dreszcz ją przebiegał, a gdy pomyślała, że w podobnem położeniu znajduje się z Witoldem, z tym Witoldem, w którym dosyć rozmaitych niedoskonałości widziała, zdawało jej się, jakby nic ze świata nie ubyło i nic się nie zmieniło w jej położeniu.

Z wyjątkiem tej jednej różnicy, dwa uczucia, między które podzieliła się jej istota, były tak do siebie podobne, że się samej siebie przelękła.

— Jestem chyba potworem, nie kobietą — powiedziała z przestrachem — przyszłam na świat jako monstrum z dwoma zrośniętemi sercami, na nieszczęście dwóch uczciwych ludzi i na swoje.

Myliła się. Była kobietą tak jak inne, nic w niej nienaturalnego nie było. Zagadka, której rozwiązać nie potrafiła, nie jest jednak nierozwiązalną.

Kobieta, córa ziemi, jest jako ziemia, jej matka. Jedno ma słońce, koło którego krąży i którem żyje, ale gdy to słońce na chwilę się usunie z jej oczu, przychodzi miesiąc blady, i uśmiecha się do niej, i krąży koło niej, i udaje to słońce, od którego światła pożycza. Ale niech miesiąc w najpiękniejsze zdobi się pełnie, nie z niego płynie w łono ziemi siła ożywcza, i niechaj słońce tysiące ma plam, ziemiaby bez niego umarła. Nie czuje ona tego, że wszędzie dąży za swem słońcem, a miesiąc za nią się skrada; złudzenie wzroku sprawia, że jej się zdaje, iż to i tamto krąży koło niej. Ukazują się razem lub pojedyńczo na jej niebie, czasem jedno drugie zaćmiewa; gdy słońce skwarem pali, miesiąc wydaje jej się pożądańszym, ale i to wszystko złudzenie: w słońcu jej życie, miesiąc jest martwą i bezduszną bryłą; tamto jest prawdą, ten tylko wyobraźnia, chwytając się pozorów, w ułudne przybiera szaty.

Dwa uczucia w sercu Wandy, dwa uczucia, których jednoczesności pojąć nie była zdolną, mogły się zatem pomieścić obok siebie wygodnie, nie zawadzając jedno drugiemu, bo różne były ich siedliska. Miłość dla Witolda miała siedlisko w jej sercu i zapełniała je całe; owa druga istniała tylko w jej wyobraźni, miała te same kształty i wymiary, była wierną kopią tamtej, ale nie miała istoty i treści.

I dla tego, gdy Wandzie przyszło na myśl, że jej nie pozostało nic więcej, prócz owej drugiej miłości, wzdrygała się i w sercu uczuwała śmierć. Nie można żyć urojeniem.

XI.

Nie chciałbym nadużywać porównania kobiety do ziemi w planetarnym systemie, dlatego pominę uwagi, jakie się tutaj nasuwają i gwałtem cisną pod pióro; na przykład, iż powinniśmy dziękować Niebu za to, żeśmy nie przyszli na świat na Saturnie, bo jeżeli kobieta dla nas jest przez tyle wieków nierozwiązaną zagadką, to tam, mając tyle księżyców świetniejszych od słońca i tyle pierścieni, czarną lub złotą wstęgą dzielących całe niebo na dwoje, jeszcze nierozwiązalniejszą być musi. Fatum powieściopisarskie, w nieubłagalnym swoim dyspotyzmie, zmusza mnie jednak jeszcze raz, choć na chwilę do tego porównania powrócić.

W systemie planetarnym trzech osób, których dzieje stanowią właściwą treść tej powiastki, zbliżała się bardzo szybko nieuniknionа i dająca się z całą ścisłością przewidzieć chwila całkowitego zaćmienia.

Astronomia kobiety nie jest tak dokładnie poznana, jak astronomia planet, zagadką więc jeszcze było, czy to będzie zaćmienie słońca czy księżyca. Wiadomo z astronomii planet, że do zaćmienia potrzeba zejścia się na jednej linii słońca, księżyca i ziemi, i że jeżeli księżyc jest wtedy w nowiu, to zaćmiewa słońce, a jeżeli jest w pełni, to sam zostaje zaćmionym. Mniej więcej tak samo bywa i w astronomii kobiety. Księżyce, dopóki nowe, zaćmiewają stare słońca, lecz gdy się okażą w całej pełni swoich przymiotów, gdy się im przyjrzeć można dokładnie, pada na nie cień gruby, i znikają w jego otchłani.

Nie jest to pomyślną wróżbą dla Kornela, ale nie uprzedzajmy wypadków...

Z całego jego postępowania najwięcej oddziałało na wyobraźnię Wandy bezoporne wykonanie żądanej przysięgi, i dochowywanie jej przez czas dość długi. Było to w jej pojęciu nec plus ultra szlachetności, czystości i prawości charakteru, a nadto siły woli i umiejętności panowania nad sobą. Wiele bohaterskich czynów, których opiewaniem unieśmiertelnili się poeci, bladło w jej oczach w porównaniu z tą extra-heroiczną przysięgą. Mając takie świadectwo wyższości moralnej, a nawet więcej niż wyższości, bo ogromu moralnego swego księżyca, Wanda czuła się uprawnioną wszędzie i przed wszystkimi, nie wyłączając nawet Witolda, przedstawiać Kornela jako ideał prawdziwie męskiej cnoty, jako człowieka, który wydobył z siebie czyste złoto wszelkiej doskonałości, jakie się da wysmażyć w tym tyglu alchemicznym, którym jest człowiek.

Gdy Witold usłyszał swoję żonę odzywającą się w ten sposób, było to dla niego znakiem, że potrzeba przestać patrzeć, a zacząć działać.

Było to może w kilka tygodni, może w miesiąc po wykonanej przysiędze. Kornel bywał codziennie, codzień powtarzał pani Witoldowej, że ją kocha, i wbrew teoryi wygłoszonej przez sędzinę Korowską, bynajmniej jej to nie nudziło.

Nie dowodzi to przecież, żeby teorya pani Korowskiej była mylną. Gdyby Kornel codzień powtarzał swoje jak pozytywka, sprawdziłaby się przepowiednia sędziny co do joty. Pani Anzelmowa w orszaku swych wielbicieli natrafiała widocznie na same pozytywki, i na tem oparła swoje pewniki.

Kornel Łoński jednakże nie był pozytywką, nie dał się nakręcić do tej samej codzień nuty, lecz jak prawdziwy artysta, z wielkim improwizatorskim talentem codziennie nowe wycinał kuranty.

W słowiczych jego pieniach był pewien postęp, dla tej, która go słuchała codzień, a czasem częściej niż codzień, zupełnie niedostrzegalny.

Podobny do adwokata, który się zastawia literą prawa, a ducha jego dowolnie nakręca, Kornel dotrzymał na pozór danego uroczyście przyrzeczenia, w rzeczywistości jednak nadłamywał je powoli, tak zręcznie, że mu nic zarzucić nie było można.

Miał coś niemieckiego w swojej naturze, potrafił spieszyć się powoli. Wiedział, że mniej się zmęczy, idąc drobnym ale pewnym krokiem do celu, niż gdyby spiesznie zrobił skok trójkrokowy, po którymby nastąpić musiały dwa kroki wtył.

Gdybym chciał opisać dokładnie jego postępowanie, powiastka moja zasługiwałaby na spalenie. Sambym pierwszy wykonał obowiązek kata, i rzuciwszy ją na stos, podłożył ogień. Byłaby to bowiem teorya sztuki uwodzenia, z której uczyćby się jej mogli ci, których instynkt zły jej nie nauczył. Rzucam więc tylko ogólne zarysy, wystarczające do poznania takich ludzi, jak Kornel, pod maskami, jakie przybierać zwykli. Nie zdziwi mnie jednak, gdy mimo to znajdą się krytycy w Poznaniu, którzy mi zarzucą, że pisuję niemoralne powieści, i na dowód przytoczą takie, których nietylko nie pisałem, ale nawet z tytułu nie znam. Będzie to niemoralność krytyczna, prawiąca kazanie o moralności powieściopisarskiej, rzecz wcale pod słońcem nienowa.

Przepraszam najmocniej czytelnika za ten króciutki ustęp osobisty. Godzi się go wybaczyć autorowi, który nigdy ani przedmów do prac swoich ani dedykacyj nie pisał, a teraz zapomniawszy się tylko na chwilę, natychmiast do swych obowiązków powraca.

Otóż w miesiąc mniej więcej po wykonanej przez Kornela przysiędze, pani Witoldowa wspomniała raz do męża o tem niezrównanem bohaterstwie Kornela.

— Wierz mi, że to człowiek niezwykły, umysł wznioślejszy, charakter, na którym można budować jak na opoce.

— Powiedz mi, Wando — odpowiedział Witold — czy odrazu przyszłaś to tego przekonania, którego nigdy nie objawiałaś tak stanowczo?

— Nie... powoli.. studyowałam go... teraz mam pewność...

— Moje przekonanie jest inne — opowiedział spokojnie Witold.

— Jakto? inne?

— Tak jest, wprost przeciwne twojemu, moja Wandziu...

— Jakto?... więc ty go uważasz...

— Uważam go za zręcznego komedyanta, za człowieka, który oprócz wielkiego intryganckiego sprytu ma bardzo mało, może nawet nie ma żadnych dodatnych przymiotów; nie wierzę w jego odwagę i szlachetność, tak jak nie wierzę, żeby większe pomieściło się w mniejszem...

Słowa te były wymówione z całym spokojem, bez najmniejszego cienia namiętności.

Na twarz Wandy wystąpił żywy rumieniec.

— Zmiłuj się!.. żartujesz chyba — rzekła hamując gniew — gdybyś wierzył, że jest takim, nie pozwoliłbyś mi go przyjmować...

— Przedewszystkiem wierzę w twój rozsądek, a jeżeli czasem potrzebujesz mojej uwagi, wiem, kiedy ją mam uczynić.. powtóre zdania tego, jakie mam o nim, nie powziąłem na ślepo i odrazu... studyowałem go...

— Słuchałeś może kogo z jego nieprzyjaciół...

— Oh! posądzasz mnie, Wandziu, o to, w co sama nie wierzysz... czyż ja oskarżam kiedy kogo opierając się na zdaniu cudzem?

— A więc musiałeś sobie mylnie tłumaczyć postępki jego, o których cię doszła wiadomość...

— Ha! to możebne... mylić się każdy może... mam jednak mocne przekonanie, ze ja się tym razem nie mylę... Jeżeli chcesz i pozwolisz, to ci ofiaruję dowód, dowód niezbity...

— A więc dobrze! — odpowiedziała Wanda nie tamując już uniesienia — przyjmuję i wyzywam cię... dowiedź mi, że jest takim, jak mi go odmalowałeś; lecz jeźli nie dowiedziesz, daruj, że sądzić będę, że sam takim jesteś.

— Zgoda — z powagą odparł Witold — przyjmuję to wyzwanie, przyjmuję nawet zastrzeżenie, bo sam dla siebie straciłbym szacunek, gdybym innym bez zasady podłość zarzucał. Ty sama będziesz jego sędzią, i dlatego ostrzegam cię, że cokolwiekby zaszło, nic więcej nie będę wymagał od ciebie, prócz szczerego zdania o nim, na podstawie tego, co widzieć i słyszeć będziesz.

— Kiedyż to nastąpi?

— Wkrótce.

Po tej rozmowie Wanda odeszła, po raz pierwszy podobno od czasu ich małżeńskiego pożycia, bez jakiejś oznaki przywiązania, bez uścisku.

— A zatem pora nadeszła — powiedział do siebie Witold po jej odejściu — dalsza zwłoka mogłaby zgubić ją i mnie. Dotąd czekałem, bo przedwczesna lekcya nie przyniosłaby pożądanego skutku, dłużej ani chwili nie można.

XII.

Jakkolwiek Wanda była mocno przekonaną, że jej mąż bezzasadnie oskarżał Kornela, zaimponowała jej przecież pewność Witolda. Znała go, że nie miał zwyczaju mówić źle o kimkolwiek na wiatr. Przypuszczała, że coś spostrzegł, albo usłyszał, że się w nim obudziła zazdrość, i że go ta zazdrość zaślepia; ale spokój, z jakim Witold przemawiał, jego powaga i stanowczość, nie pozwalały bardzo ufać temu przypuszczeniu. Człowiek,

któryby pod wpływem podniecanej zazdrości był zdolnym do takiej powagi i do takiego spokoju, byłby doprawdy fenomenem, a Wanda już dość dawno przestała wierzyć w fenomenalność swego męża. Od czasu, jak Kornel zaczął rosnąć w jej oczach do miary fenomenów, Witold spadał powoli w jej pojęciu do miary pospolitych szeregów owego niezliczonego tłumu, który obejmują ogólną nazwą „poczciwców.“ Tym sposobem myśli jej poplątały się, znalazła się w kółku błędnem, z którego nie widziała wyjścia. Musiała albo uznać jakąś niepospolitość w zdegradowanym na zwyczajną istotę mężu, albo przyznać słuszność temu mężowi w rzeczy najprzeciwniejszej swemu przekonaniu. Z dwojga tego złego żadne nie wydawało jej się lepszem, na żadne zgodzić się nie chciała.

Potrzeba jej było koniecznie jakiegoś wyjaśnienia, jakiejś wskazówki, jakiegoś zdania z zewnątrz, któreby rzuciło pewne światło na niedającą się rozwikłać zawiłość. Najnaturalniejszą było rzeczą zasięgnąć tego zdania u tej, co się sama narzuciła na powiernicę jej stosunku z Kornelem.

Kazała zaprządz do powozu i pojechała do sędziny Korowskiej.

Odwiedziny jej u Julii, od czasu powrotu sędziny z zagranicy, bywały dosyć rzadkie, tak rzadkie prawie, jak potrzeba było, ażeby nie zrywać z nią stanowczo. Sędzina nieraz na cztery lub pięć wizyt nie mogła się doczekać rewizyty, co przecież wspaniałomyślnie wybaczała swej przyjaciółce i bywała u niej, jak mówiła „na kredyt.“

Przyjazd Wandy, w niewizytowej nawet godzinie, zdziwił więc panią Korowską i ostrzegł ją, że coś zaszło.

Utwierdziło ją w tem przekonaniu wzruszenie, jakie dostrzegła na twarzy Wandy, i niezwykły, gorączkowy pospiech, z jakim weszła pani Rolicka do jej salonu.

Domysły i przypuszczenia swoje tak dalece Julia brała za pewność, że swoim zwyczajem nie pozwoliła mówić Wandzie, lecz ściskając ją zawołała:

— Nie mów mi nic, nie mów mi nic, moja droga, wiem już wszystko.

— Jakto?... więc ci opowiedział? — zapytała Wanda zalewając się mocnym rumieńcem, który wywołało upokorzenie i żal do męża, że w sprawie między nią a sobą tak niestosowną obrał powiernicę.

— Nie opowiedział mi nic jeszcze... ale przyjdzie i opowie... może dziś jeszcze, a najdalej jutro... już ja ich znam doskonale... Więc cię porzucił, powiadasz.. Ma prophétie s'etant accomplie, powinnam być zaliczoną do rzędu największych prorokow, chociaż jestem taka mała... I tobie to bardzo przykro?.. nieprawdaż?... ale to nic, powiadam ci, że to przejdzie, za trzy dni ani śladu nie będzie... roześmiejesz się do tego tak jak ja... tylko nie rób żadnych starań, żeby powrócił... puść go... Jęczał już dosyć długo w twoich kajdanach, okrutnico, bądź wspaniałomyślną, daj mu amnestyą...

Ten potop, ta nawałnica, ta kaskada wyrazów, których żadnym giestem nie podobna było powstrzymać, pobudziły Wandę do tak pustego śmiechu, jakim się nie śmiała może ani razu jeszcze od czasu, jak poznała Kornela. Zapomniała na chwilę o drażliwości swego położenia, o walce wewnętrznej, jaka się toczyła w jej łonie, o zwykłej swemu usposobieniu powadze.

Podniosła się z kanapy i zakrywając Julii ręką usta, rzekła:

— A cichoż bądź nareszcie!.. nieznośna jesteś... Co ty pleciesz?.. kto porzucił? jakie proroctwo? jaka amnestya? o kim mówisz?

— No, rozumie się o Kornelu. Wiem, że od miesiąca używasz na niego mego radykalnego środka, który jest tak skuteczny, jak proszek perski na inne domowe owady... powinnaś się cieszyć, żeś się go pozbyła nareszcie...

— Jakto pozbyłam się?... bywa codzień jak bywał...

— Więc zkądże to twoje wzruszenie?..

— Jakie wzruszenie?... nie byłam ani wzruszona, ani żadnej tajemnicy do powierzenia ci nie miałam, ani nic, jednem słowem, nic takiego nie zaszło, coby mogło być powodem do jakiego zwierzenia lub prośby o radę... Przenikliwość twoja zawiodła cię tym razem... wstąpiłam przejeżdżając, żeby z tobą chwilę przepędzić, i nic więcej.

Julia wpatrzyła się w nią zdziwiona. Nic teraz zrozumieć nie mogła. Wanda jej też niczego nie tłumaczyła, bo miała zamiar tylko zręcznie ją wybadać, ale nie czynić jej dobrowolnie powiernicą walk i burz swojego ducha.

Zaczęła się rozmowa o Kornelu, więc Kornel i nadal pozostał jej przedmiotem; Wanda nie potrzebowała jej nakierowywać umyślnie, ażeby usłyszeć to, co usłyszeć pragnęła.

— Kiedy jednakże mówisz o panu Łońskim, który z łaski twojej podobno został moim prawdziwym przyjacielem — rzekła — to powiedz mi, bo ty go znasz przecież dawniej i zapewne daleko lepiej, niż ja poznać mogłam, co też ty sądzisz o jego charakterze?..

— O jego charakterze przy tobie?... a! czyż tego nie wiesz, moja droga? Sądzę, że występuje w charakterze wachlarza... wzdycha póki pozwalasz... przysiągł, że będzie tylko wzdychał, i tak długo dotrzymuje przysięgi, co dowodzi, że jest więcej wachlarzem niż inni, którzyby przez tydzień nie wytrzymali takiej roli...

— Ależ ja mówię o jego charakterze jako człowieka.

— Przyznam ci się, żem się nie zastanawiała doprawdy, czy on ma jaki charakter jako człowiek... najpewniej nie ma żadnego... Kiedy mi go jednak przynosisz do otaksowania, to otaksuję, o ile się znam. Mojem zdaniem, choć się świeci, nie jest dukat tylko zdawkowa moneta, dość świeżo przechowana od wyjścia z pod stempla; nie jest to brylant, lecz dobrze oszlifowany kawałek czeskiego szkła... A! czy ty myślisz, moja droga, że jabym rozda-

rowywała brylanty albo dukaty? Nie ma tego tak wiele na świecie. Jabym nawet mojego starego Anzelma, który jest po prostu tylko srebrny, bo mu się już włosy dobrze srebrzą, jabym go nie darowała nikomu, a gdybym koniecznie miała go wymienić, to wiesz, za kogobym wymieniła?

— Ciekawam...

— Za twojego męża, moja droga... Jest to człowiek, który byłby szczerozłotym i brylantowym, gdyby nie miał jednej, szkaradnej wady...

— Jakiejże to?

— Qu'il est horriblement myope, ma chérie..

— Przepraszam cię, ma wzrok doskonały.

— A mnie dojrzeć nie może między śmiertelnemi, chociażem znowu nie taka mała, jak robaczek, a od miesiąca przeszło kocham się w nim... bez nadziei.

Ta rozmowa utwierdziła Wandę w przekonaniu, że zarzuty, jakiemi Witold obarczył Kornela, i których podjął się dowieść, były zupełnie bezzasadne. Stało się to przedewszystkiem dlatego, że zwykle w to wierzymy, czego pragniemy, a nie dajemy wiary temu, coby dla nas było przykrem i nieprzyjemnem. Ujemne zdanie sędziny przyczyniło się do tej opinii o tyle, że Wanda, poniekąd bardzo słusznie, przypisywała sobie głębszy i zasadniejszy sąd o ludziach, niż Julii; kiedy zatem Witold w zdaniu o Kornelu zgadzał się z panią Korowską, to musiał go sądzić tak lekkomyślnie i tak powierzchownie, jak ona wszystkich sądzić miała zwyczaj.

— Nie może być inaczej — powiedziała sobie nakoniec Wanda — Witold jest zazdrośny, zazdrość go uprzedziła, i nie dowiedzie tego, co zamierzył, a wtedy...

Zimno jakieś przebiegło ją na tę myśl. Nie chciała się nad nią zastanawiać. Wzięła do ręki pierwszą książkę, jaka jej się nasunęła, i zaczęła przewracać kartki, wpatrując się w litery, a nie mogąc pochwycić wątku myśli. Szło jej też tylko o odpłoszenie swoich własnych.

(Dokoń. nast.)

Z księgi żywota.

Szła na bal strojna, wesoła —
Jedwabna suknia szeleści —
A w progu o pomoc woła
Z dziecięciem szkielet niewieści:

— „Choć grosza na chléb, wielmożna!
Z głodu umieram z dziécinà..."
— „Ach precz mi z drogi, bezbożna!
Suknię mi splamisz twą śliną."

I przeszła z szumem jak burza,
Głucha na jęki rozpaczy...
„Poco się z błota wynurza
Podły ten motłoch żebraczy?!"

Lecz słyszał jęk ten wzgardzony —
Biedny wyrobnik warsztatni,
Spojrzał na nędzę wzruszony
I dał jej grosz swój ostatni.

Och ty błyszcząca niecnoto,
Wstrętna ludzkości jemioło!
Toż na to tylko masz złoto,
By niem zasłaniać twe czoło?

A któż nieszczęście opiele,
A któż sierotę przytuli?
Litości — łzawy aniele!
Ty w zgrzebłej chodzisz koszuli...

F. W.

ROCZNICE HISTORYCZNE.

Dzień 27. maja r. 1471.

Władysław Jagiellończyk, królem czeskim obrany.

Kwestya słowiańska—to konik, którego z różnem szczęściem od pewnego czasu dosiadają ludzie, trzymający u nas lejce wielkiej polityki, już to przemawiając za federacyą szczepu, któremu obecnie przypada odegranie ważnej roli w Europie, już też wojując z żarliwością, godną lepszej sprawy, przeciw idei połączenia wielkiej rodziny Słowian, a trzymając się jak pijany płotu tego zachodu, który w dwóch swoich reprezentantach, t. j. Niemcach i Francuzach, tylekroć już zadrwił z naszej dobroduszności i łatwowierności.

Jakiegokolwiek kto zdania w tej mierze, każdy przyznać musi, że sprawa to niesłychanej żywotności i doniosłości, że wobec gotującego się starcia dwóch wielkich potęg, żywiołu germańskiego i słowiańskiego, przyjdzie nam zająć wybitne stanowisko — osamotnienie zaś w epoce aglomeratów państwowych, pośród wrogich sobie obozów, równa się dobrowolnemu wydaniu na samego siebie wyroku śmierci.

Rzecz więc słuszna i sprawiedliwa, że dzienniki polskie, czeskie, rosyjskie zastanawiają się nad tem, czy federacya taka możebna, i na jakich warunkach dałaby się w życie wprowadzić. Objaw to jednak wcale nie pocieszający, że społeczeństwo nasze tak mało zna i interesuje się historyą i literaturą pobratymczych plemion,

że, co gorsza, ciż sami dziennikarze, co o kwestyą słowiańską kruszą kopie, stokroć lepiej są obeznani z dziejami któregokolwiek z pomiędzy państw zachodnich, niźli n. p. z historyą najbliższych nam Czech, o których piśmiennictwie tyle może wiemy, co o zabytkach piśmiennych starożytnego Egiptu.

A przecież jakżeż można wyrokować, czy zespolenie kilku ludów możebne, nie znając gruntownie ich przeszłości, ich państwowego i społecznego ustroju!

Lepiej podobno znaliśmy pobratymców przed kilku wiekami, aniżeli dzisiaj; mocniej o potrzebie zjednoczenia słowiańszczyzny naprzeciw prądowi teutonizmu był przekonany dzielny wódz Litwinów, Witold, niźli dzisiejsi nasi publicyści. Wielki Kiejstutowicz nie pióro, lecz potężne ramię miał na przeprowadzenie swych rozległych zamiarów, a przecież rozbiły się one o upór i wstręt Jagiełły, a raczej Oleśnickiego, do panowania nad k a c e r s k i m narodem. Czy dzisiejsi zwolennicy jedności słowiańskiej pomyślniej walczyć będą z tradycyjnym uporem swych przeciwników? Qui vivra, verra.

Rocznica, o której dziś nam pisać wypada, należy do tych kilku momentów dziejowych, w których narody: polski i czeski, więcej się do siebie zbliżają. Zbliżenie to następuje za panowania Kazimierza, który bystrzejsze od ojca, Władysława Jagiełły, poznawszy, jak zgubną była jego polityka względem Czechów, postanawia iść z nimi ręka w rękę, czem mimo całej powolności dla papieża naraża się na zarzut ze strony kuryi, „iż sprzyja odszczepieńcom i nie dopuszcza rzucania na nich u siebie klątwy i głoszenia wojny krzyżowej.“ (Długosz).

Jak dalekim był jednak Kazimierz od zrozumienia wielkiego swego posłannictwa, widać ztąd, iż obojętnym był na przedstawienia Czechów, zaręczających wedle Długosza, że po osiągnięciu rządu w Czechach, snadnie Austrya, Węgry i całe państwo rzymskie przejdą pod panowanie Polski; wołających do Polaków: „Pamiętajcie, że król polski pięciu ma synów, nie dla jednego królestwa, ale dla wielu zrodzonych i wychowanych. Nie zamykajcie tylu książąt w granicach jednego państwa, i nie pozbawiajcie ich przez własną niedbałość słusznego i prawego dziedzictwa. Uchylając się od wojny postronnej, ściągniecie przezto wewnętrzną, i będziecie ją mieli we własnym domu“ — iż dalej wedle zapewnienia tegoż kronikarza aż Krzyżaków(!) radził się, czy ma przyjąć koronę czeską, wzywanemu na tron czeski synowi Władysławowi pod warunkiem, aby pojął córkę Jerzego Podjebrada, Ludmiłę, nie pozwolił razem z senatorami (z wyjątkiem kilku) „aby kalał się związkami z księżniczką w błędach kacerskich wychowaną“, a z powodu obecności posłów czeskich, ofiarujących koronę Władysławowi, dozwalał na kościoły i miasto rzucać interdykt i t. p.

Toż nie dziw, że po opróżnieniu tronu po śmierci Jerzego r. 1471, Czesi zrażeni postępowaniem Kazimierza, mimo uchwały z r. 1469, mianującej królem młodego Władysława, postępowali tak, jak gdyby postanowienie to wcale nie było zapadło; i przyznać im trzeba wiele abnegacyi, że mimo to w końcu Władysława na tron powołali, czując wstręt zarówno do węgierskiego Macieja, jak do kandydatów niemieckich, rozumujących, że ponieważ król czeski jest pierwszym świeckim elektorem, więc tylko Niemiec posiąść może czeską koronę...

Sam Kazimierz, widząc dość poźno niestosowność dotychczasowego ociągania się, wysłał około połowy maja do Pragi trzech posłów, mianowicie Pawła Balickiego, Marcina Wrocimowskiego i Dobiesława z Kurozwęk z upomieniem, aby dotrzymując dawniejszych przyrzeczeń, osadzili na tronie Władysława.

Na sejmie elekcyjnym w Kutnejhorze partya Polsce przychylna tak była silną, iż stronnicy Macieja Korwina widząc, że nic nie wskórają, opuścili miasto. Ogół narodu sprzyjał stanowczo Władysławowi; odezwały się tylko głosy, pragnące oddać koronę nie synowi, lecz ojcu. W poniedziałek, dnia 27. maja, o godzinie 11. z południa przystąpiono do oboru, i w tymże dniu ogłoszono królem piętnastoletniego Władysława. Następnie wysłano do Polski z doniesieniem o wyborze reprezentantów starego i nowego miasta Pragi, Scibora Towaczowskiego, wielkorządcę Moraw, Jana Towaczowskiego, Henryka Šmirzyckiego i innych, którzy otrzymawszy w Krakowie posłuchanie, oświadczyli, „że Władysława, najstarszego królewica polskiego, zgodnemi głosy i z rzadką jednomyślnością, nad wszelkie oczekiwanie, odrzuciwszy innych współzawodników, królem czeskim obrali.“

Władysław—zawikłany przez kilka lat w wojnę z Maciejem Korwinem, który posiadając znaczną część dziedzin czeskich, jak połowę Morawii, cały Szląsk i Luzacyą, nie myślał ich odstąpić, i ogłosił się nawet królem czeskim — panował przez lat trzydzieści kilka, t. j. aż do 1516 r. Najznakomitszy historyk czeski, Franciszek Palacki, taki o nim sąd wydaje: „Był on — mówi — zacnym, dobrze wychowanym młodzieńcem, bez samolubstwa i niezdolen nikomu wyrządzić krzywdy, lecz także bez energii, bez wyższego polotu ducha i bez doświadczenia; nie umiał ani karcić rozhukanych namiętności i odrzucać silnych nalegań, ani liczyć i gospodarzyć.“

Jakkolwiek zaprzeczyć nie można, że Władysław nie miał dość siły charakteru i rzutkości na króla w tak burzliwych czasach, to przecież przyznać trzeba, że uczynił wiele dobrego dla kraju, doprowadzając zwaśnione partye religijne do zgody i ogłaszając na sejmie w Kutnahorze r. 1485 wolność sumienia. Czesi kochali go też, a sąsiedni Węgrzy po śmierci Macieja, r. 1490, powołali na tron św. Szczepana.

K.

Ratusz w Poznaniu.



Piękny ten gmach starożytny, w stylu gotyckim, zbudowany został w pierwszej połowie 16go wieku. W półtora wieku potem zniszczył piorun jego wieżę, ktorą w r. 1698 nader misternie i znacznym kosztem odbudowano. Miało to być arcydzieło budownictwa, które obudzało podziw powszechny; ale w r. 1725 zwaliła ją burza, a w miejsce jej wystawiono nową wieżę, ale już nie tak okazałą.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w czerwcu 1873.

(Towarzystwo artystów polskich we Lwowie. — Petycya młodzieży krakowskiej o założenie Akademii sztuk pięknych w Krakowie. — Wystawa obrazów. — Ze sceny).

O stosunkach naszych literackich i artystycznych, o pożyciu we Lwowie ludzi, oddających się powyższym zawodom, publiczność dowiadywała się dotychczas tylko z echa polemiki i wymyślań, w które tak bardzo obfitowała lwowska prasa peryodyczna... Właściwie też, o pożyciu koleżeńskiem i towarzyskiem w sferze tak zwanej literackiej, nie mogło być tutaj mowy, gdyż zawsze panowało w niej wiele względów i dążności osobistych, wiele uprzedzeń i niechęci a priori, żadnej zaś nie było spójni, żadnego hasła ogólniejszego, któreby owe rozprószone czynniki naszego życia intellektualnego sprządz zdołało w ścisłe i zwarte w sobie koło. Ile przy takim stanie rzeczy poroniono dobra publicznego, wyłuszczać podobno nie potrzeba... Rzecz prosta, że jak odosobiona działalność pojedyńczych, bez zachęty i poparcia z zewnątrz, nie była wydatną ani dla pracujących, ani dla ogółu, tak ustawiczne starcia między pracownikami jednego zawodu, będące tylko konsekwencyą ich odosobionych dążności, w najwyższym stopniu szkodliwie oddziaływać musiały na dotyczące stosunki, czego zresztą wybitnym i aż nadto jaskrawym dowodem jest stan naszych wydawnictw, tudzież wieczny saison morte w księgarniach, salach odczytowych, na wystawach sztuk pięknych a nawet — do pewnego stopnia — i w teatrze.

Nieznośny ten stan rzeczy prędzej czy poźniej wzbudzić musiał w samychże panach literatach i artystach przeświadczenie o konieczności zbliżenia się do siebie i związania pewną wspólnością. W gronie artystów sceny poruszono najpierw myśl zawiązania się w Towarzystwo, któreby miało na celu pomoc wzajemną członków, a przytem było poniekąd pośrednikiem między nimi i wyrazem ich wspólnych interesów. Myśl tę z czasem rozszerzono o tyle, że i literaci i artyści wogóle przystąpili do Towarzystwa, ułożono odpowiednie statuta, i na podstawie tychże Towarzystwo rzeczone weszło w życie zeszłego miesiąca. Pierwsze jego zebranie publiczne zagaił Kornel Ujejski słowem tak podniosłem i serdecznem, że kto z obecnych przedtem nie czuł potrzeby takiego Towarzystwa, z pewnością nabrał przedświadczenia o wysokiem jego znaczeniu śród stosunków chwili, kiedyśmy każdy objaw, każdą iskierkę ducha ojczystego odżywiać powinni i podniecać ciepłem wzajemności. Wieszcze te słowa Kornela są jakby błogą wróżbą, są otuchą, że dzieło zaczęte nie zmarnieje, ale rozwinie się najpomyślniej, ściągając do sympatycznego ogniska i tych, którzy dotąd jeszcze poglądają nań z niedowierzaniem. Należałoby może w istocie niejedno w obecnym ustroju Towarzystwa zmienić lub uzupełnić, chętnie to przyznajemy malkontentom; ale sam fakt istnienia koła ludzi duchowej pracy przemawiać powinien nad skropuły co do formy tego istnienia. Zresztą wybrany już zarząd postara się zapewne o naprawienie w statutach tego, co wielu wydać się może wadliwem lub nieodpowiedniem. — „Towarzystwo artystów“ liczy już dotąd około stu członków. Panów: Królikowskiego, Jana z Warszawy, Aleksandra Fredrę ojca, i Jana Matejkę zaproszono na członków honorowych.

Równie piękny dowód żywotności i dobrej woli złożyła świeżo młodzież krakowska, wystosowawszy petycyą do cesarza o założenie Akademii sztuk pięknych w Krakowie. Dotychczas istniała tylko obok techniki krakowskiej szkoła, a raczej szkółka sztuk pięknych, złożona z dwóch oddziałów: „malarni“ i „rzeźbiarni“, bez dostatecznych środków naukowych i wogóle bez jakiegokolwiek wyposażenia. Wprawdzie „szkółka“ ta wydała Matejkę i wielu innych znakomitych artystów, nie wynika ztąd jednak, aby każdemu z uczniów sztuki, których mamy zawsze zastęp bardzo liczny, posłużyły zdolności do takiego zapanowania nad trudnościami i niedostatecznością nauki. Większa też część uczniów naszych zmuszoną jest udawać się do zakładów celniejszych za granicę, do Wiednia, Monachium, Berlina lub Paryża, ażeby tam kończyć i uzupełniać swe wykształcenie, co połączone jest oczywiście z znacznemi wydatkami, a poczęści też ze szkodą ducha ojczystego, gdyż pod wrażeniem wzorów i kierunku szkół obcych w duszach młodych artystów zaciera się nieraz ideał rodzimy. Dziś, gdy jesteśmy dalej już może niż w przededniu oryginalnej, udzielnej sztuki polskiej, gdy nam Matejko, Leopolski, Rodakowski, Kossak i Brandt wytwarzają szkołę malarską, najświetniejszą niezawodnie z współczesnych, gdy tenże Matejko pracuje w kraju i odmawia przyjęcia zaszczytnej posady dyrektora szkoły sztuk pięknych w Pradze dlatego tylko, by się nie odrywać od ojczystego powietrza i wrażeń rodzimych, dziś utworzenie Akademii sztuk pięknych w Krakowie nie tylko wydaje się naturalnem, ale koniecznem, nieodbitem. Osobistości nasze, mające wpływy u cesarza, powinne więc jak najusilniej popierać i polecać petycyą młodzieży krakowskiej.

Wystawa obrazów lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych już się rozpoczęła. Udział artystów okazał się żywszy, niż się spodziewać należało, pomnąc na okoliczność, iż wiele dzieł wysłano na wystawę wiedeńską. W następnej kronice obszerniej pomówimy o tym przedmiocie, gdyż i wystawa ciągle jeszcze się uzupełnia i trwa zbyt krótko, abyśmy się już w niej rozpatrzyć byli mogli.

Na scenie widzieliśmy z nowości dramat p. Adama Asnyka p. t. Cola Rienzi, o którym podaliśmy już wiadomość w ostatniej kronice, uprzedzeni krytyką krakowską. Przedstawienie Rienzi'ego usprawiedliwiło uznanie, jakie utwor ten pozyskał w Krakowie, bo jakkolwiek to i owo zarzucićby można autorowi co do pojęcia historycznego faktu, stanowiącego osnowę dramatu — mianowicie zaś charakteru samegoż bohatera sztuki — tudzież co do układu scenicznego, piękno wszakże dykcyi, prawda i siła w oddaniu wyrazów duszy stawią sztukę p. Asnyka w rzędzie niepospolitych płodów muzy dramatycznej. Przedstawienie, zwłaszcza drugie, dobrze wystudyowane, szło stosunkowo gładko, co za nowej dyrekcyi nie jest wcale rzeczą rzadką. Pomyślny zwrot w tym kierunku

objawia się coraz wybitniej, co z prawdziwą przyjemnością zapisujemy.

O występach gościnnych p. Rychtera z Krakowa, byłego członka sceny warszawskiej, możnaby obszerne zadrukować feletony, tem bardziej, że dają one sprawozdawcy sposobność do poglądów na stan i kierunek obecny naszej sztuki scenicznej wogóle, której p. Rychter jest weteranem w całem tego słowa znaczeniu. My tego uczynić nie możemy przy najlepszych chęciach — a to poprostu dla braku miejsca. Nie poraz to pierwszy zresztą widzimy teraz p. Rychtera, i reputacya artysty tego nie na świeżych ugruntowana podstawach, aby jej dziś jeszcze cośkolwiek ująć lub dodać można. Szczerze więc tylko dziękujemy artyście, że nie zapomniał o nas, a spodziewamy się, że jeszcze i na przyszłość niejednokrotnie będziemy mieli sposobność spieszyć do teatru na jego występy. Po odjeździe p. Rychtera gościć będzie na scenie naszej p. Benda z Krakowa.

Podobno już złożoną została komisya dla konkursu dramatycznego na rok bieżący, tak zwanego „lwowsko krakowskiego“, który jednakowoż dotychczas ogłoszony nie został, chociaż pierwsze półrocze upływa.

W operze doprowadziła dyrekcya już do „Hugenotów“, a to w istocie dość na tak młode siły... Kolosalny ten utwor Mayerbeerowski, dzięki potędze głosu pani Jakowickiej i pana Kamińskiego, powiódł się tak, że nawet muzycy nasi, których nawiasem powiedziawszy, zadowolnić bardzo trudno, bez szemrania opuszczali salę teatralną. Zdaniem naszem, chromały tylko chóry i po części orkiestra. Wracając do partyi solowych, nie możemy nie wyrazić uznania obok pani Jakowickiej i p. Kamińskiego także pannie Kramerównej, która najpoprawniej odspiewała partyą królowej Małgorzaty, oraz pp. Borkowskiemu i Köhlerowi za udział, jaki im przypadł w tej operze.

B. K.

Przechadzki po wystawie powszechnej w Wiedniu r. 1873.

przez A. S.

I.

W miesiąc po otwarciu wystawa jeszcze wcale za urządzoną nie może być uważaną. Jakkolwiek bowiem główny pałac t. z. przemysłowy i jego boczne galerye są już po większej części zapełnione, daleko jednak jeszcze do zupełnego wykończenia, do harmonijnego ustawienia nagromadzonych przedmiotów. Toż samo i w parku: stoją już rozmaite budynki, ale po większej części jeszcze rusztowaniami pozasłaniane, i wstęp wzbroniony. Na dzień otwarcia udekorowano po wierzchu, co się dało, resztę zabarykadowano, byle tylko terminu 1. maja dotrzymać. Tem większy musiał następnie powstać chaos i zamieszanie, gdy szych pozdejmowano, a wzięto się do wykończenia. Niemniej jednak można już dzisiaj o tyle mieć wyobrażenie o tej wystawie, że można na niem osnuć ogólny pogląd, a zarazem rozpatrzeć się, jak się też brała do rzeczy naczelna dyrekcya, w jakich warunkach przyszło dzieło do skutku, jakie może mieć znaczenie i przynieść korzyści.

Odbyło się już w Europie kilka większych wystaw w tym rodzaju, a przecież do dzisiaj nie ma zgody pod tym względem, jaki cel i charakter one właściwie mieć powinny. Jedni uważają je za jarmark powszechny wszelkich produktów. W takim razie byłyby one wyłącznym interesem sprzedających, oni musieliby ponosić wszelkie koszta, odbywałyby się wystawy w warunkach zewnętrznych jak najskromniejszych, byłyby niepotrzebne wszelkie komisye krajowe, a rządy miałyby obowiązek tylko przeszkody usunąć, zupełnie się czynnie do sprawy nie mieszając. Tymczasem tak nie jest; rządy wszelkich państw jako takie biorą w wystawach inicyatywę, bezpośredni udział, łożą koszta z publicznych funduszów — co właśnie odbiera wystawom charakter jarmarku świata handlowego i przemysłowego, a nasuwa myśl innych widoków. Nadto jarmarki jako takie obierają sobie zawsze pewne właściwe, niekoniecznie stołeczne miasta za swoję siedzibę, nie dadzą się do przeznaczonego z góry punktu sprowadzić, i nader rzadko bywają powszechne, ale zwykle specyalne — prócz jarmarków lokalnych. Inni utrzymują, że wystawy mają być zmysłowem uplastycznieniem, dotykalnym obrazem statystyki handlu, przemysłu i sztuki całego świata w danej chwili. W takim razie wszelkie koszta powinny ponosić tylko rządy. Tymczasem każda z dotychczasowych wystaw mogła być tylko po części takim obrazem, a po części była i jarmarkiem. W obydwóch zaś z wymienionych wypadków musiałyby być wykluczone wszelkie zbytkowne powilony, ozdoby, parki, fontanny i t. p., jak również sądy i medale, gdyż w tej mierze powinna być pozostawiona wolna droga podaży i popytowi, które najlepiej regulują ceny i ustalają dobre imię produktów.

Z uwagi więc, że pod żadne z powyższych określeń wystawy powszechne nie dadzą się ściśle podciągnąć, utrzymują wreszcie inni, że są one jedynie środkiem w rękach rządów dla podniesienia uroku i potęgi państwa, przedsiębiorstwem zyskownem dla miasta, w którem się odbywają, a obok tego dopiero na dalszym planie stoi stworzenie doraźnego ogniska dla konkurencyi i dla międzynarodowego handlu.

To ostatnie określenie, wynikłe już z doświadczenia, odpowiada jeszcze najlepiej rzeczy, o którą idzie, lubo wcale nie jest zupełnem. Należy bowiem dodać, że wystawy powszechne są zarazem doraźnym środkiem edukacyjnym dla ogółu publiczności, rozszerzającym widnokrąg wiedzy, ułatwiającym znalezienie się w dzisiejszych niesłychanie skomplikowanych stosunkach; środkiem, który w międzynarodowych stosunkach ma dopełnić pracy dokonywanej codziennie przez ko-

leje żelazne, telegrafy, okręty parowe i dziennikarstwo. Środek ten może zarazem działać instruktywnie na rozwój przemysłu, zwłaszcza w tym kraju, w którym wystawa się odbywa.

Taki też charakter miały poprzednie i ma dzisiejsza wystawa w Wiedniu. Wynika z tego, że obowiązek ponoszenia kosztów wystawy przypada z natury rzeczy na rząd państwa, w którym się wystawa odbywa, a względnie do swojego przemysłu i na inne państwa, biorące w niej udział. Rozumieją to inne rządy, i one też z publicznych funduszów koszta wystawców pokrywają; w Austryi jedynie postąpiono przeciwnie. Rada państwa udzieliła wprawdzie kredytu 15 milionów dyrekcyi wystawy— lecz suma ta ugrzęsła w samym zbytkownym gmachu i parku, została marnotrawnie a zupełnie bezużytecznie wydaną na same ramy zewnętrzne wystawy, krajom zaś koronnym kazano z własnych funduszów, a raczej kazano wystawcom samym ponosić wszelkie, a nader wysokie koszta za udział w wystawie, która nie jest interesem wystawców, ale sprawą honorową i poniekąd edukacyjno-ekonomiczną państwa. Obok tego zasadniczego błędu popełniony został jeszcze drugi, wynikły z widoków centralizacyjnej polityki, t. j., że nie dano krajom koronnym osobnych miejsc, ale pomieszano je z sobą, tak jak gdyby Austrya była ściśle jednolitem państwem, mającem na każdym punkcie te same ekonomiczne interesa; a do tych dwóch błędów przyłączyła się jeszcze w urządzeniu samem tradycyjna biurokratyczna niezdarność, opieszałość, nieudolność, opóźnienie, a przytem grasująca w Wiedniu demoralizacya wyzyskiwania wszystkich i każdego bądź co bądź.

Przyczyny te spowodowały słaby udział wystawców austryackich, a przynajmniej czterykroć słabszy, niż sobie obiecywano, ogólne niezadowolnienie, niesłychane opóźnienie— tak, że tylko wystawa państw zagranicznych honor wystawy całej ratuje. O te błędy zasadnicze, o macosze traktowanie, o wyzyskiwanie i o wszelkie utrudnianie tam, gdzie tylko ułatwianie i uprzedzające względy być powinny, mają wystawcy z prowincyj austryackich słuszny żal do dyrekcyi wystawy, z którym też na każdym kroku spotykać się można. Nie zawadzi przytoczyć tu kilka przykładów z Galicyi: zamówionych (a drogich) szaf dyrekcya wcale nie przygotowała — wystawcy wskutek tego na wielkie koszta i mitręgę czasu zostali narażeni; — hr. Alfred Potocki, który zgłosił przedmioty do czterech grup, zupełnie się usunął z powodu zbyt wielkich kosztów; — reklamacyą przeciw szczupłości przyznanego miejsca, największej naszej fabryki machin Zieleniewskiego w Krakowie, dyrekcya złożyła ad acta i ostatecznie do wycofania się od wystawy fabrykę zmusiła; — zgłoszenie Armatysa najpierwszego handlu futer w Galicyi zupełnie pominięto, i dopiero przez protekcyą ministerstwa handlu zdołał tenże miejsce uzyskać; — Stelik, rzeźbiarz i kamieniarz, nie otrzyma miejsca, gdyż nie chciał swoim ołtarzem udekorować kościoła żelaznego, wystawionego przez Lianiego z Wiednia — a ten jegomość jest właśnie referentem do tych spraw w dyrekcyi, itd. itd......

W zupełnie taki sam sposób objawiała się zachłanność wiedeńska przeciw wystawcom z innych prowincyj.

Nieudolność w samem urządzeniu okazała się w sposób równie jaskrawy. Dotąd budynki nie są gotowe; przez dachy i kopułę przecieka woda deszczowa; trzeba ciągle naprawiać; podział gmachu i wystawy przyjęto zupełnie nieodpowiedni, a w zamieszaniu i pośpiechu nawet tego się nie trzymają, stawiając n. p. mydło wśród wykopalisk; dotąd nie ma wcale katalogów, gdyż pierwszy, wydrukowany na 1. maja, obejmuje same fałsze i poprostu nonsensa; dotąd nie ma napisów grup; przedsiębiorcy, restauratory itp. na placu wystawy muszą opłacać ogromnie wysokie dzierżawne dyrekcyi, a odbijać się na publiczności. Można wogóle powiedzieć, że wobec właściwej wystawy są te wiedeńskie stosunki i tryb postępowania w swoim rodzaju również charakterystyczne — ku niezadowoleniu wystawców i publiczności, a ku zgorszeniu zagranicy.

Wracając do celu wystawy należy przyznać, że poprzednie, obok widoków bezpośrednich państwowych i miejscowych, przyniosły także poniekąd i dalszy pożytek. Pierwsza wystawa londyńska z r. 1851 zbliżyła o wiele ląd stały z Anglią i wzajemne stosunki rozszerzyła, zacierając wiele szorstkości i nieznajomości. Nadto wywołała ona liczne reformy handlowo-polityczne w Europie, i popchnęła naprzód sprawę coraz gęściejszego rozgałęzienia sieci kolei żelaznych. Pierwsza paryska wystawa z r. 1855 postawiła sztuki piękne na świeczniku jako najwyższy kwiat cywilizacyi, i stanowi poniekąd epokę pod względem wprowadzenia machin do użytku w rolnictwie. Druga wystawa londyńska z r. 1862 wywołała przewrót w całym przemyśle angielskim, głównie pod względem gustu, estetyki, tego, co Niemcy nazywają Kunstgewerbe. Druga wystawa paryska z r. 1867 dała pochop do znacznych reform pod względem systemów handlowych, monetarnych, wag i miar, i wogóle pod względem ułatwienia komunikacyi. Teraźniejszą wiedeńską wystawą zamierzono również z góry poprzeć rozmaite dalsze cele. I tak postanowiono, aby z wystawy w równej mierze, jak handel i przemysł, mogła skorzystać także teorya, nauka. W tym celu przy każdej grupie mają być wykazy i tabele statystyczne produkcyi — rzecz nader trudna, boć trudno odrazu apropos wystawy stworzyć prawdziwą statystykę tam, gdzie jej przedtem nie było. Stworzono osobną grupę dla historyi przemysłu i wynalazków od lat stu wstecz; dla historyi i archeologii stworzono nową grupę starożytności, t. z. exposition des amateurs; postanowiono urządzić systematycznie wystawę wzorowych chat dla ludu i mieszkań miastowych z całem urządzeniem; rozszerzono znacznie grupę wychowania i nauki; urządzono osobny pawilon małego dziecięcia; przyznano znaczne miejsce pracy kobiecej itp.; wreszcie przy sposobności wystawy mają obradować kongresy międzynarodowe o rozmaitych kwestyach rolniczych, przemysłowych i naukowych. Zobaczymy, o ile skutek zamiarom odpowiedział.

Tutaj możemy już z ogólnego rozglądnięcia się dwie uczynić uwagi.

Wystawę wiedeńską odgranicza od ostatniej paryskiej zanadto mała przestrzeń czasu, tak, że przez te kilka lat nie przybył ani jeden nowy wynalazek; to, co widzimy, jest obfite i zajmujące, ale wszystko już było w Paryżu. Wyjątek stanowi dział wschodu, który atoli stanowi raczej ozdobę i curiosa, niż właściwą wystawę.

Powtóre, zamiast przyjąć podział, jaki był w Paryżu — gdzie idąc promieniami zwiedzało się wszystkie przedmioty

jednego kraju, a idąc obwodem pałacu wystawy zwiedzało się jednego gatunku przedmioty z wszystkich krajów, co dawało łatwy i pouczający przegląd — tutaj wybudowano gmach o wielkiej nawie podłużnej z kopułą i galeryach poprzecznych, które porozdawano wszystkim państwom. Każde z nich urządza się dowolnie na swojem miejscu, ztąd ogromny bezład i trudność oryentowania się i porównywania. Przyjęty w zasadzie podział na 26 grup stał się przez to czysto iluzorycznym. Będziemy się jednak starali wytknąć przechadzkom naszym systematyczny kierunek i ocalić czytelników od mitręgi i pobłądzenia.

Drezno z końcem maja.

(Nowe dzieła: A. Brandowskiego rzecz o założeniu uniwersytetu krakowskiego. Dalsze zeszyty Pantheonu wiedzy ludzkiej Br. Trentowskiego. Dra. Wł. Daisenberga Dzieje filozofii prawa i państwa. E. Lipnickiego historya literatury polskiej po niemiecku. Historyczne publikacye Beera. — Czynności Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. — Organizacya Szkoły sztuk pięknych w Krakowie i Matejko. — Hr. Załuskiego przyczynek do charakterystyki Chopina. — Rzeczy polskie na wystawie przedmiotów sztuki i starożytności w Tours.

Gdybym był urzędowym, jedynym kronikarzem Strzechy, musiałbym się wielce strwożyć na duchu wobec zadania tego miesiąca, tak wielu przedmiotów należałoby dotknąć, o tylu rzeczach choć wspomnieć, i o tak mnogie polemiczne węzły zawadzić w biegu. Szczęściem mam prawo puścić wodze fantazyi i mówić, o czem mi wygodniej i milej, nie zaczepiając ani ludzi narwanych, którzy za każdem dotknięciem krzyczą, ani rzeczy wydających woń niemiłą. Będę też z tego korzystał.— Wydawnictwo poza granicami zaboru rosyjskiego ledwie dające znaki życia, nie próżnowało wszakże, gdzie niegdzie ukazała się książka, winna żywot składowi okoliczności wyjątkowych. Tak w Krakowie profesor A. Brandowski wydrukował rzecz swą o założeniu Uniwersytetu krakowskiego, znakomicie i z wielkim zbytkiem erudycyi opracowaną, a objaśniającą krytycznie i ze źródeł sporne punkta tego pamiętnego dla nas faktu, o którym, gdyby nie kilka dyplomów, mielibyśmy tylko pokrzywione podania. Dzieło prof. Brandowskiego, jakeśmy powiedzieli już, jest z erudycyą niezmierną wypracowane i z głęboką znajomością przedmiotu i metody badania. Pełno w niem niespodzianych, ciekawych bardzo szczegółów, tyczących się samego bytu pierwotnych uniwersytetów, a krytyczna część obrobiona z benedyktyńską cierpliwością. Szanowny nasz filolog nielitościwym jest dla lekkomyślnych pseudo-uczonych, nie przebacza nikomu, lecz w sprawie prawdy godzi mu się być jej gorliwym obrońcą.

Księgarnia Żupańskiego, która przez czas niejaki, oprócz znakomitego dzieła prof. Szulca o Chopinie i bardzo milutkiego teatru dla młodzieży, z niczem nowem nie wystąpiła, wydała kilka dalszych zeszytów Pantheonu wiedzy ludzkiej Bron. Trentowskiego, którego wyjście na świat zawdzięczamy gorliwemu wdaniu się Dr. Libelta. Dzieło to dopełnia spuścizny filozofa, a należy bezsprzecznie do najważniejszych prac jego... Szczere się dzięki należą czcigodnemu Libeltowi i gotowości ochoczej Żupańskiego, który jest dziś jedynym filarem księgarstwa w całym zaborze pruskim. Zatrwożyliśmy się wszyscy bolesną wiadomością o chorobie oczu Dr. Libelta, lecz z wielką pociechą w tej chwili otrzymujemy pomyślniejsze już wieści. Z tej epoki, w której W. Ks. Poznańskie przodowało ruchowi umysłowemu kraju naszego i ożywiało go a obudzało, Libelt i Cieszkowski pozostali jedynymi jeszcze patryarchami, a przyszło im, niestety, patrzeć na to, co się jeszcze upadkiem nazwać nie może, ale co już postępem nie jest. Obok Pantheonu śmiało postawić można rozpoczęte w Krakowie dzieło Dr. Wład. Daisenberga, „Dzieje filozofii Prawa i Państwa“, przedstawione na tle dziejów cywilizacyi, którego pierwsze zeszyty zwiastują pracę poważną, dziwnie jasno i przystępnie wykonaną z głęboką przedmiotu znajomością. Z tych zeszytów, które są wstępem do rzeczy, nie godzi się sądzić o całości na bardzo obszerną skalę zarysuwującej się; ale cieszyć się mamy prawo, bo zyskujemy w autorze nieochybnie bardzo zdolnego i wykształconego pisarza w gałęzi najmniej u nas uprawianej. Nadzwyczaj popularny wykład winien przyciągnąć nawet tych czytelników, którzy od ksiąg poważnych stronią.

Dla Niemców wydał w Moguncyi nieznany, nam przynajmniej, ziomek nasz, pan E. Lipnicki, krótką historyą polskiej narodowej literatury, w niespełna półtorastu stronnicach objętą. Cudzoziemcom, którzy nas ignorują dobrowolnie, da to jakiekolwiek pojęcie o naszej przeszłości literackiej, i obezna ich przynajmniej z głównemi zarysami dziejów piśmiennictwa, któremu istnienia zaprzeczyćby radzi. Z naszego punktu widzenia historya p. Lipnickiego krytykiby wytrzymać nie mogła, jako propedeutyka dla Niemców odpowiada swemu założeniu. Nie wiem, czy w którym z listów poprzedzających wspomniałem o historycznych publikacyach Beera, do dziejów rozbioru Polski odnoszących się; jestto nowy materyał z archiwów dobyty, który dla pracujących obojętnym nie będzie. W tej chwili otrzymujemy jeden jeszcze tom źródeł tegoż autora, korespondencyą cesarzów Józefa i Leopolda z Kaunitzem, gdzie też się coś znajdzie o Polsce.

Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu, które wyznaczoną nagrodę Prof. J. Szujskiemu przyznało, przyczyniło się do dalszego wydawnictwa źródeł historycznych, rozpoczętego przezeń tak szczęśliwie; zrobiło też bardzo trafny wybór zadania do następującego konkursu, żądając rozbioru źródeł przez Rossyan wydanych w ostatnich czasach do dziejów Polski. Są one liczne i niezmiernie ważne, a większa ich część tonie w czasopismach, w zbiorach, które lub nam są całkiem nieznane, lub poźno nas dochodzą i ułamkowo. W kilku latach, ostatnich zwłaszcza, przybyło bardzo wiele źródeł nowych i ważnych, których nietylko rozbiór, lecz przekład i wydanie byłoby obowiązkiem, gdybyśmy nie mieli tylu obowiązków, a tak mało ludzi i pieniędzy! Ze wszystkich fundacyj, jakie dla kraju najdroższemi są, założenie szkółki a wydanie historycznego pomnika — to najcenniejsze, to najbardziej na dobie. Książka wyjaśniająca dzieje, to ogniwo, co nas łączy z jedynemi prawami do bytu odrębnego, jakie nam pozostały. Co chwila jednak przychodzi boleć nad brakiem środków do wydawania tego, co lada wypadek na wieki zniszczyć może. Mieliśmy dawniej ludzi jak Działyński, jak Raczyński, którzy rozumieli cenę i wagę pamiątek... dziś nam i tych zabrakło. Na siły zbiorowe narodu rozbitego nic rachować nie można... ostatki

funduszów idą na czcze fundacye i ofiary próżności tylko dogadzające.

O otwarciu Akademii Umiejętności nie potrzebujemy tu wspominać, bo o niem obszerniej i najrozmaiciej mówiły wszystkie pisma wasze; w tej chwili pomnaża radośną tę wiadomość obietnica nowej organizacyi Szkoły Sztuk pięknych, na której czele ma stanąć Matejko... Nie sprawdziły się więc złowrogie wróżby, i twórca tylu znakomitych dzieł pozostaje w mieście rodzinnem. Właśnie z wystawy wiedeńskiej dolatują nas wieści o wrażeniu, jakie czynią zebrane tam obrazy Matejki, ściągające jak w Paryżu Sejm (czegośmy byli świadkami) oczy wszystkich i tłumy widzów. Mają one ten urok nawet dla nieznawców, iż ich zmuszają do zwrócenia uwagi i szukania znaczenia scen, jak same życie porywających. Nie obawiamy się dla nich rywalizacyi z Pilotym, Makartem i Richterem, którzy rozmiarami i kunsztownością swych dzieł mogą też zatrzymać widzów, lecz siły ducha Matejki nie mają. Ten duch nie określa się i nie daje ująć ani wypowiedzieć. Są utwory doskonałe technicznie a pozbawione go i zimne, są ułomne a posiadające go i przyciągające. W starych szkołach chrześciańskich, pierwotnych najlepiej się o prawdzie tej przekonać można. Duchem żyje Fra-Angelico i Perugin... W następcach Rafaela kunszt jest najwyższy, a tchnienia już tego braknie. Techniki uczą mistrze, ducha wlewa pan Bóg... Nie od rzeczy tu będzie zapisać przynajmniej zjawienie się medalu, odbitego dla Teod. Morawskiego, autora dziejów Polski, których podobno nowe już wydanie ma przedsięwziąć p. Żupański, a do którego sędziwy autor gotuje się jeszcze nowe poczynić dodatki i uzupełnienia. Jeżeli się ta wieść sprawdzi, zaprawdę pocieszającym będzie faktem rozpowszechnienie się tak rychłe dzieła poważnego, kilkotomego, a zawierającego w sobie treść całą żywota Polski, nadzwyczaj szczęśliwie ujętą, bo jej w tak szczupłych rozmiarach ani kolorytu, ani charakterystycznych szczegółów nie braknie.

Do dzieła prof. Szulca o Chopinie, które jest jedynem wyczerpującem i wybornie napisanem, przybywa w tej chwili artykuł w Dioskurach, wychodzących w Wiedniu, wydrukowany po niemiecku przez hr. Załuskiego przyczynek do charakterystyki nieśmiertelnego poety... Małe to studyum nie wyczerpuje przedmiotu, ciekawem jest wszakże, bo na własnem poczuciu i wrażeniach opartem. Hr. Załuski w końcu jego poleca Niemcom broszurę Fr. Liszta, z pewnością wiele rzeczy cennych zawierającą, lecz mogącą się nazwać chyba wstępem do poważniejszego sądu o Chopinie.

W miesiącu tym, w Tours we Francyi, była zajmująca wystawa przedmiotów sztuki i starożytności, której drukowany katalog mamy przed sobą... Któżby się w nim spodziewał polskich rzeczy!.. a jednak poseł Nakwaski i hr. Branicki z zamku Montrisor, dostarczyli pięknych i ciekawych... Od p. Nakwaskiego były obrazy z dziejów Polski i starożytne pasy polskie; hr. Branicki dał przepyszne srebra stołowe, rzeźby na drzewie historyczne z czasów Sobieskiego, puhary i wiele innych cennych pod względem artystycznym i narodowym pamiątek. Przerzucając spis widzimy z pociechą, że wojna niepozbawiła Francyi mnogich zabytków jej przeszłości... Blisko dwa tysiące numerów zawierała wystawa, a między niemi niezmiernie cenne dla dziejów sztuki... Czytaliśmy niedawno głos ubolewania jednego Prusaka, że się nie udało niemieckich zabytków, będących w posiadaniu Francyi, odzyskać... utyskiwał nawet, że tyle ich ponabywało Britisch Museum... z którego jeszcze trudniej je wydobyć... nie wspomniał tylko o niewynagrodzonych nigdy rękopismach biblioteki strasburgskiej, które bomby pruskie w popiół obróciły; tych już żadna siła ludzka ani niemieckim zbiorom, ani skarbnicy przeszłości nie przywróci, i tych — to rzeczywiście nieodżałowana szkoda...

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Najstraszniejszy wróg człowieka). Jak wielką plagą są dla człowieka jadowite węże, dowiadujemy się z wydanej właśnie pod tytułem „Thanatophidia of India“ monografii Dr. Fayrera, profesora chirurgii przy kolegium medycznem w Kalkucie, która z dołączeniem wizerunków wszystkich znanych wężów jadowitych opisuje liczne próby, czynione z jadem wężowym na zwierzętach, a oraz obfite doświadczenia tego lekarza na ludziach, którzy przypadkiem ukąszeni zostali przez jadowite gadziny i po największej części musieli zginąć. Przerażającym jest zaprawdę statystyczny wykaz powtarzających się tak często nieszczęsnych wypadków. Tak między innemi wykazuje Dr. Fayrer, że w jednym tylko roku 1869, na 120,972.263 mieszkańców w Bengalii i północno-zachodnich prowincyach, poniosło 11.416 osób śmierć przez ukąszenie wężów, a zatem 1 na 10.000 głów. Węże zwane Cobra, Daboja, Hawadryad, Krait, Echis, posiadają najgwałtowniejszy jad, i Dr. Fayrer uważa to za rzecz prawie niepodobną, by człowiek, istotnie zatruty tym jadem, kiedykolwiek ocalał, chociażby go ratowano wszelkiemi środkami, gdyż działanie tego jadu jest prawie doraźne. W istocie nie jest jad tych zwierząt zawsze równie silny, i w takich razach, gdy działanie jego jest słabsze, da się niebezpieczeństwo usunąć, i to są też owe mniemane kuracye za pomocą antidotów, które w rzeczywistości całkiem są niepodobne. Także kuracye tak zwanych „zaklinaczy wężów“ polegają tylko na złudzeniu przez ukąszenie niejadowitego węża, albo są rozmyślnem oszustwem. Dr. Fayrer przypuszcza, że podwiązanie ukąszonego członka, wypalenie, a jeszcze pewniej spieszna amputacya, mogą być pomocne w razie mniejszej jadowitości trucizny; ale ponieważ ratunek taki bywa już po największej części zapóźnym, przeto zaleca on rządowi angielskiemu jako jedynie radykalny środek energiczne wytępianie tych gadów.

(Minister i węglarz). „Gaulois“ opowiada następującą scenę: Madrycki korespondent tego dziennika składał ranną wizytę Don Manuelowi Silvola, ministrowi spraw zagranicznych.

— „Chciej pan wybaczyć“ — rzekł minister — „że przyjmuję go wobec tego pana“. — Przy tych słowach wskazał ręką człowieka, który miał na grzbiecie wór z węglami, i

którego twarz i ręce świadczyły wyraźnie o jego rzemieśle. — „Ten pan“ mówił Silvola dalej — „jest republikanin od wczoraj. Od dziesięciu lat zaopatruje on mnie w węgiel i przynosi mi co rana mój zapas. A ponieważ reprezentuje on teraz ośmnasto-milionową część władzy państwa, przeto uważałem za obowiązek, złożyć mu moje życzenia, tak jak on to uczynił, gdym został mianowany ministrem.“

— „A ja nie przyjmuję życzeń pana“ — mruknął węglarz.

— „Dlaczego?“ — spytał Silvola. — „Żyjemy przecie w rzeczypospolitej, a pan mówiłeś mi, gdym miał szczęście zawiązać z nim znajomość, że dopiero wtedy bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy osiągnęli tę formę rządu. Teraz doczekaliśmy się tego szczęścia, używajmyż go!“

— „Pan nazywasz to rzecząpospolitą?“

— „Przecież tak ją nazywają, i wy teraz jesteście panami.“

— „Otóż właśnie w tem jest pomyłka“ — odparł węglarz odchodząc — „Dopokąd pan nie zaczniesz nosić węgli do mnie, nie powiem, że żyjemy w rzeczypospolitej.“

(Ile wart dobry kucharz?) Historya kongresu wiedeńskiego okazuje najlepiej, jak wielkim smakoszem był sławny Talleyrand, i jak chytrze umiał za pomocą swoich smacznych obiadków wyłudzać znaczne korzyści dla pokonanej Francyi. W chwili, gdy się ważyły losy Europy, uganiały kuryery po wszystkich stronach świata dla wyszukania najlepszego sera, i Talleyranda „fromage de Brie“ zostało uroczyczyście ogłoszone królem serów. Przebiegły Francuz wiedział, że łatwiej jest działać na żołądki dostojnych głów, niż na ich serca, gdyż tu natrafia się często na zbyt wielki opór.

Po upadku Napoleona I. uwięziony został margrabia de S. za wielkie przestępstwo polityczne, i jak można było wnosić ze śledztwa wstępnego, groziło życiu jego wielkie niebezpieczeństwo. Młoda, piękna małżonka obżałowanego pospieszyła natychmiast do Paryża. Talleyrand, który jako mąż stanu posiadał tak delikatny węch, że zawsze przeczuwał naprzód wielkie katastrofy i stosownie do okoliczności nastrajał swoję politykę, posiadał u Ludwika XVIII. taki sam wpływ, jaki miał przedtem. Do niego więc udała się młoda dama, przypomniała mu czasy, gdy jako gość bawił w jej zamku w Champagnii, i błagała go ze łzami w oczach, ażeby ratował jej męża.

Wszechmocny dyplomata zdawał się być wzruszony prośbami pięknej margrabiny. Podał jej z galanteryą ramię i zaprowadził ją do odosobionego pokoju, poczem zamknąwszy drzwi, wskazał jej miejsce na sofie i usiadł tuż obok niej.

— „Pani obudziłaś słodkie wspomnienia w mej duszy, piękna, ubóstwiana margrabino“ — zaczął z wielką czułością i ujął dłoń przejętej niepokojem i trwogą damy. — „Życie małżonka pani jest w wielkiem niebezpieczeństwie, ja tylko mogę go ocalić. A czy zdołałabyś pani ponieść ofiarę za jego wolność?“

Biedna margrabina spojrzała nań zapłoniona i odrzekła drżącym głosem: — „Wszelką ofiarę, książę, którąby się zgadzała z moim honorem i — z cnotą.“

— „Dobrze więc“ — mówił Talleyrand tajemniczo dalej, a pałający wzrok jego przeszywał do głębi zatrwożoną kobietę. — „Jeszcze dziś zachwycam się wspomnieniem owych chwil roskosznych, które przeżyłem pod dachem pani, tych przechadzek w szumiącym parku, a wreszcie tych boskich uczt, które zajmująca rozmowa pani zaprawiała urokiem poezyi; — ach! dotąd jeszcze zdaje mi się, że napawam się roskosznym zapachem bażantów...“

Margrabinie robiło się to gorąco to zimno koło serca. Strwożona padła przed dyplomatą na kolana i zawołała: — „O, jeśli panu drogą jest pamięć tej gościnności, bądź pan szlachetnym i nie wymagaj odemnie rzeczy niepodobnej!“

— „Margrabino, pani miałaś wtedy kucharza. Ten człowiek był artystą. Czy zostaje jeszcze w usługach pani?“

— „Tak jest, ale — —“

— „Otóż“ — mówił Talleyrand z wielką powagą dalej — „życie małżonka warte jest wielkiej ofiary, i tej żądam teraz po miłości pani...“

— „Miłości?“ — wyjękła margrabina zmieszana.

— „Tak jest, po miłości dla męża. Pani, odstąp mi swego kucharza!“

Niema z zadziwienia spojrzała margrabina na poważną twarz dyplomaty; nie wiedziała, czy ma się cieszyć czy gniewać, była bowiem przygotowaną na zupełnie inne żądanie.

Zamiana kucharza za margrabiego odbyła się niezwłocznie, a akta kongresu wiedeńskiego dowodzą, jak potężnego sprzymierzeńca uzyskał Talleyrand w tym kuchmistrzu.

(Prawdziwa szlachetność). Ostatni książę z rodu Montague nie znał większej przyjemności, jak wspierać poczciwych ludzi w potrzebie i jak anioł-stróż czuwać nad nimi. Żebracy z profesyi odchodzili zwykle z próżnemi rękoma od jego drzwi, ale natomiast przechodził cały jego majątek do kieszeni prawdziwie ubogich, którzy wstydzili się wyciągać rękę po jałmużnę. Następujący rys z jego życia dowodzi, że ta ostatnia latorośl szlachetnego rodu obdarzona była sercem prawdziwie książęcem:

W alei jednego z parków londyńskich spotykał książę nieraz dość młodego jeszcze mężczyznę w czystym, napół wojskowym ubiorze, w którego rysach jednak malował się wyraz głębokiego smutku. Zdjęty ciekawością, ktoby był tym nieznajomym ujmującej powierzchowności, przedsiębrał poszukiwania, i dowiedział się, że jestto dymisyowany oficer, który służył z odszczególnieniem, ale przez niełaskę komendanta pułku usunięty został przy redukcyi armii z połową żołdu. Prócz tego pokazało się, że zasłużony ten żołnierz ma żonę i troje dzieci w Yorkshire, którym regularnie posyła połowę swego szczupłego żołdu, a sam cierpi niedostatek, i że nakoniec czyni najrozpaczliwsze zabiegi w Londynie, ażeby uzyskać jaką posadę i tym sposobem zapewnić lepsze utrzymanie swojej familii.

Gdy się książę przekonał, że weteran zasługuje na to, aby być szczęśliwym, zaprosił go do siebie na obiad. Biedny oficer przybył do pałacu z wyrazem zadziwienia i zakłopotania, ale książę przyjął gościa swego tak uprzejmie, że nieśmiałość znikła wnet z twarzy nieszczęśliwego.

— „Ażeby powiedzieć panu prawdę“ — rzekł wreszcie Montague tajemniczo, biorąc oficera za rękę — „kazałem pana prosić do siebie dlatego tylko, ponieważ w moim domu znajduje się dama, która pana często widywała i namiętnie zakochała się w panu...“

Oficer cofnął swą rękę przelękły i rozczarowany, i odparł z posępnym uśmiechem: — „O, mości książę, racz oświadczyć tej damie, że promień jej łaski padł na niegodnego, bom ja żonaty i kocham tylko moję żonę i moje dzieci.“

— „A to chciejże przynajmniej zobaczyć tę damę, ty człowieku bez serca!“ — rzekł książę z uśmiechem, i w tej chwili rozwarły się podwoje sali jadalnej.

Biednemu, stroskanemu weteranowi wydało się to snem, gdyż w pośrodku, przy obficie zastawionym stole ujrzał swoję żonę i dzieci, które uczynny książę kazał sprowadzić z York-shire do Londynu. Na ten niespodziany widok zbladł oficer z radośnego przestrachu i serce przestało mu bić w piersiach; po chwili jednak wyciągnął z okrzykiem ręce i wnet przyciskał do serca uszczęśliwioną rodzinę, z którą tak długo był rozłączony.

Nim opuścił pałac księcia, wręczył mu tenże dokument, zapewniający mu piękny dochód roczny.

— „Nie wahaj się ani chwili przyjąć tego, mój przyjacielu“ — mówił książę — „bo mi zależy wiele na tem, ażeby lokować dobrze moje kapitały. A plon, który dziś zebrałem, dozwala mi się spodziewać jeszcze dalszych procentów wdzięczności i zadowolnienia.“

(Przyjaciel w potrzebie). Hrabia Lavalette był, jak wiadomo, jednym z najwierniejszych stronników starego Napoleona. Młody ten awanturnik został z ochotnika oficerem, a po bitwie pod Arcole adjutantem konsula; poźniej mianował go cesarz tajnym sekretarzem swoim, a w końcu, gdy przez zaślubienie Ludwiki Beauharnais spokrewnił się z cesarzową Józefiną, został jeneralnym dyrektorem poczty we Francyi. W r. 1854 usunięto go od urzędu, ale gdy Napoleon opuścił Elbę, a Ludwik XVIII. umknął z Paryża, pospieszył usunięty dygnitarz do Ferranda, i odebrał od niego w imieniu cesarza jeneralne dyrektorstwo poczty. Po restauracyi został Lavalette uwięziony i za zdradę stanu na śmierć skazany. Jego żonie i córce udało się uwolnić go z więzienia w ten sposób, że dniem przed spełnieniem wyroku, uzyskawszy pozwolenie odwiedzenia go, zamieniła z nim żona suknie; w tem przebraniu umknął on szczęśliwie w lektyce z córką, a żona zajęła miejsce jego w więzieniu. Przez 14 dni ukrywał się Lavalette w Paryżu, a potem ułatwiło mu ucieczkę trzech Anglików, jenerał Robert Wilson, kapitan Hutchinson i niejaki Bruce. Było już bardzo blizko granicy, gdy zbiegi przybyli do jakiegoś miasteczka z padającemi już ze znużenia końmi, i wysiadłszy na poczcie, zażądali świeżego zaprzęgu. Poczmistrz stacyi jednak poznał pomimo troskliwego przebrania natychmiast swego dawnego przełożonego, ale nie mówiąc ani słowa, rozkazał coś pocichu pocztylionowi, a ten popędził cwałem ku granicy. Hrabia, zatrwożony wielce tem postępowaniem, prosił powtórnie o konie, ale nikt w domu ani się nie ruszył, a poczmistrz wcale się nie pokazywał. Zbiegi wiedząc o tem, że są ścigani przez szpiegów francuskich, i przewidując tu na pewno zdradę, byli już zdecydowani, sprzedać drogo swe życie, gdy poczmistrz wyjechał z dziedzińca rączym zaprzęgiem, wstrzymał szybko konie, i zeskoczywszy na ziemię przemówił do hrabiego temi słowy: — „Panie, powierzchowność Twoja znamionuje człowieka honorowego; spodziewam się przeto, że pan nie zawiedziesz mego zaufania. Pan jedziesz do Mons, gdzie bawi hrabia Lavalette, który niegdyś był moim przyjacielem, i któremu zawdzięczam teraźniejsze moje stanowisko. Chciej pan doręczyć mu tych 200 luidorów, które jestem mu dłużny, a których pewno w obcym kraju może potrzebować. Siadajcie panowie, moje rącze konie zawiozą Was do granicy, a wysłany naprzód pocztylion zamówi przeprzęgi.“ Nim hrabia przyszedł do siebie z zadziwienia, siedział już z swymi towarzyszami w powozie, trzymając w ręku dobrze napełnioną kiesę. Wkrótce przebyto granicę belgijską, a z Mons udał się hrabia do Monachowa, gdzie do oczekiwała jego córka. Ale szlachetna jego małżonka padła niestety ofiarą swego poświęcenia; trzymano ją bowiem tak długo w więzieniu, aż dostawszy obłąkania zachorowała i umarła.

(Żebracy w Paryżu). W studyach o Paryżu, ogłoszonych w „Revue des deux Mondes“, podaje pan Maxime du Camp także bardzo ciekawe szczegóły o żebrakach paryskich, z których przytaczamy następujące: „Ze wszystkich żebraków mają ślepce najlepszą reputacyą. Paryżanin spogląda z rodzajem uszanowania na tych nieszczęśliwych, gdyż podług mniemania ludu są ci ślepi żebracy po największej części milionerami. Pamiętamy jednego, który stawał codziennie na rogach ulic Louis te Grand i La Paix. Ludzie, którzy go znali, twierdzili, że córce swej, wydanej za notaryusza, dał w posagu 300,000 franków, a wieczorem widywano go często w loży Wielkiej Opery, dokąd jeździł własnym powozem. To pewna, że ślepce są ulubieńcami szczodrobliwej publiczności. A nawet są oni artykułem bardzo poszukiwanym przez młode robotnice, pragnące wyjść za mąż, gdyż takie małżeństwo zapewnia im swobodne życie, a nie naraża wcale na nieprzyjemną kontrolę. Pewnego dnia — opowiada autor — przechodząc przez Pont des Artes, widziałem kobietę, która przyniosła obiad takiemu ślepcowi. Podała mu blaszany talerz do ręki, z którego on łapczywie zajadał. Po chwili jednak zaczął wietrzyć nosem i zapytał: „Cóż to jest?“ — Kobieta odrzekła przestraszona: „Baranina z kartoflami.“ — „A diabli by cię porwali z twoją baraniną! Wiesz przecie, że lubię tylko wołowinę.“ — Słysząc to, zatrzymałem przygotowaną jałmużnę, zachowując ją na lepszy użytek.

(Olbrzymi dyament). W Liwerpolu znajduje się teraz na wystawie u złotnika nieszlifowany dyament z Przylądka Dobrej nadziei. Wartość tego kamienia, ważącego 288$^1/_2$ karatów, czyli o 102 karatów więcej niż słynny Koh—i—nor, oszacowano na 25,000 funtów szterlingów (250,000 złr.) Jest on koloru żółtego, i ma wiele podobieństwa z dyamentem, znanym pod nazwą: „Arcyksiążę Toskański“, albo „Austryak“, który waży 139$^1/_2$ karatów. W wadze przewyższają go dotychczas tylko następujące dyamenty: „Król portugalski“, który waży 1680 karatów, „Radża z Maltan“, ważący 367, i „Risam“, ważący 340 karatów.

Nowe książki.

Władysław Łoziński. Opowiadania IMĆ. Pana Wita Narwoja, Rotmistrza konnej gwardyi koronnej, A. D. 1760—1767. Lwów nakładem Seyfarta i Czajkowskiego. 1873.

Są to jak gdyby urywki z pamiętnika, ułożone tak, że mimo wspólności osoby opowiadającej, każdy z epizodów, zawartych w tej książce, skończoną całość w sobie stanowi. Duch i obyczaje epoki, na tle której opowiadania te się toczą, wybornie wydane kolorytem i stylem. Jeden z tych epizodów, a mianowicie „Dwunasty gość“, żywy budzi interes i mocno uczucie porusza. „Przygoda w Radomiu“ jest smutną, ale charakterystyczną illustracyą ówczesnego stanu kraju. Najsłabszem opowiadaniem jest fantastyczna bajka o „Zapatanie“, w której wyobraźnia oryginalnemu założeniu nie dopisała.

Ernesta Buławy. Nowe poezye. Lwów u Seyfartha i Czajkowskiego. 1873.

Od lat kilku nie pierwszy to zbiorek poezyi tego autora witamy. Nie miejsce tutaj wymieniać ich liczbę i tytuły, to pewna tylko, że p. Ernest Buława jest najpłodniejszym ze wszystkich młodszych pisarzy... Wszystkie te poprzednie prace wyrobiły w nas przekonanie, które obecna w zupełności potwierdza. — P. Ernest Buława jest człowiekiem gorącej i szczerej wiary, wielkiego zapału i serca, rozkochanym we wszystkich ideałach narodowych i ludzkości, jest poetą w duszy, ale poetą-artystą nie jest, i wątpimy nawet, czy będzie nim kiedy. Braknie mu bowiem środka do uzewnętrznienia uczuć swoich i myśli, jak Jakób z aniołem pasuje się z formą i... zwyciężony prawie zawsze zostaje. Nie dosyć, że zostaje pod władzą frazeologii poetyckiej Słowackiego, mówiąc terminem krytycznym, ale do tej frazeologii, tak często już z siebie samej mglistej i przeciążonej ozdobami, dodaje jeszcze wybór przedmiotów natury akstrakcyjnej, metafizycznej. Dowodem tego „Oda do Woli, dowodem „Wiek żelazny“, „Rzeźbiarz swego ducha“ i wiele innych. Powiedzielibyśmy prawie, że niejasno myśli, tak mglisto i pomieszanie się wypowiada. Co chwila zboczenie, co chwila przenośnia daleka, a często nie obrazująca bynajmniej rzeczy, o którą chodzi.

Expresya najczęściej użyta fałszywie: słowem zmysłu i miary artystycznej braknie zgoła.. Rzadki wyjątek z wad tych stanowi kilka drobniejszych poezyj, z których zwraca uwagę prostotą swoją i pięknością „Wiersz do B. W.“ oraz „Ze Skowrończych psalmów.“ Wiele także szkodzą wrażeniu tej książki drobniutkie fraszki i wierszyki, bez znaczenia, które bezpiecznie w tece autora pozostaćby mogły.

Teofil Szumski. Zmierzchy i Świty. Powieść spółczesna. Dwa tomy razem. Lwów 1873.

Dlaczego ta powieść nosi tutuł „Zmierzchy i Świty“, wyzywamy każdego, aby zgadnął. Historya to pospolita walki serc młodych i szlachetnych, umysłów wyższych, dążeń dalszych, z nędzą, z egoizmem, płaskością i obrzydliwością tego świata. Opowiadanie rozwlekłe, brak zręczności artystycznej w ożywieniu interesu, styl suchy i pospolity, postacie blade, tak że po przeczytaniu ani dusza żywa z tej powieści w pamięci lub wyobraźni czytelnika nie pozostaje. Najprawdziwszy może typ w tej książce to karyerzysta młody i „zjadacz chleba“, Stanisław, i energiczna, choć szarżowana trochę figura panny Kopytkowskiej.

Niewolnica. Pisał Grzymalita. Lwów, z drukarni krajowej M. F. Poremby 1873. Nie dramat to, choć forma dramatyczna, ani poemat, choć wierszem. Motyw nieswojskiej dramatyczności na tle powstania rozsnuty: kobieta opanowana demonicznym wpływem mężczyzny i za narzędzie do niegodziwych zamiarów mu służąca. Prowadzenie zdradza rękę niewprawną, tak w stylu jak i w wyborze środków efektu; wiersz ciężki, bo 13zgłoskowy, rymowany pospolicie.

Opinia parafialna, powieść Jana Zachariasiewicza. Warszawa, 1872. U Gebethnera i Wolffa.

Na tle stosunków maleńkiej parafii, skreśla autor dwóch kobiet losy, które zawisły od „Opinii parafialnej“, dla nich rozstrzygającej. Jedna z nich walczy w ciasnym zakresie swojego rodzinnego gniazda, i choć ulega przez chwilę tej opinii, zwycięża ją wreszcie i tryumfuje. Druga dla tej opinii wybiega na świat szeroki i raczej szczęście życia całego poświęca, niżby upokorzoną przez nią być miała. Powieść ta pełna ruchu, interesu, subtelnych obserwacyj obyczajowych i psychologicznych, pomimo właściwej p. Zachariasiewiczowi wady, gonienia za oryginałami, których piękną już kolekcyą z dzieł jego zebrać można, posiada kilka znamienicie narysowanych charakterów, i przecudowny typ parafianki „Bonusi“, realistyczny i idealny zarazem, a pełen świeżości.

W. O.

Poczta »Strzechy.«

Panu W. R. w Przemyślu: Wiersz „Pęd chmur“ za słaby, by mógł być umieszczony.

Autorowi wiersza: „Do czarnobrewej“: Takie utwory idą w kosz redakcyjny.

Pani S. M.* w Krakowie: Pisaliśmy już kilkakrotnie, że tłumaczonych rzeczy redakcya nie przyjmuje.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.